Nr. 30. Poznań, Niedziela 28. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

W sprawie konkursu na dzieło o Karolu Marcinkowskim.

W wrześniu ubiegłego roku otworzyliśmy rubrykę składek na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim. Myśl tę zapoczątkował p. Niesiołowski z Szarleja, prosząc redakcyę naszą o poparcie i składając równocześnie poważniejszą sumę na cel konkursowy. Starał się ofiarodawca już od lat kilku zainteresować społeczeństwo budową literackiego pomnika dla jednego z największych, jeżeli nie największego męża, którego Wielkopolska w bieżącym stuleciu wydała, ale gdzie tylko zapukał, odpowiadało mu głuche milczenie lub głos zirytowany: „Gospodarz śpi i przyjąć nie może“. Tak mówiły redakcye, tak zatykały uszy wpływowe osobistości Księstwa i Prus, a mimo to inicyator planu konkursowego nie zraził się apatyą społeczeństwa i powtarzał stale swoje „*Caeterum censeo*“.

Do nas myśl p. Niesiołowskiego sympatycznym przemówiła dźwiękiem, i lubo nie łudziliśmy się ani chwili, by głos młodego, bo zaledwie pół roku życia liczącego i dla swojej postępowo-demokratycznej barwy wśród gerontów społeczeństwa niechętnie widzianego pisma, od razu spopularyzować mógł ideę konkursu, to jednak przypuszczaliśmy, że myśl pozbawiona wszelkiej politycznej przymieszki i służąca uczciwie celom hmanitarnym, znajdzie choć słabe echo w prasie polskiej pruskiego zaboru. A jednak my, którym bezustannie pod nogi rzucają zdawkową deklamacyę o zgorzkniałym pesymiźmie, przeceniliśmy naszych kolegów po piórze! Z wyjątkiem „Gońca Wielkopolskiego“, który zamieścił krótką notatkę o zapoczątkowaniu składek konkursowych, wszystkie pisma polskie przywitały ideę naszą kamiennem milczeniem, — jeden „Orędownik“ przemówił: gromem na konkurs i jego inicyatora.

W takich warunkach, niepopierani przez nikogo, rozpoczęliśmy gromadzenie funduszu konkursowego, a rzecz oczywista, że w otoczeniu widocznej niechęci dziennikarstwa rozmiary jego wzrastały w tempie nader powolnem. Do preliminowanej sumy 1000 marek zbliżaliśmy się krokiem urywanym i ciężkim, i to, co w innych okolicznościach stałoby się faktem dokonanym na przestrzeni jednego lub dwóch miesięcy, pozostało mimo całorocznych starań nieziszczonem życzeniem wśród zawistnej ciszy. W takiej chwili odzywa się znowu autor idei konkursowej, p. Niesiołowski z Szarleja, i pragnąc gorąco, aby budowa literackiego pomnika rozpoczęła się w najkrótszym czasie, zobowiązuje się piśmiennie zebrany dotychczas fundusz 746 marek uzupełnić do wysokości sumy preliminowanej (1000 marek), gdyby w przeciągu roku nie znalazł się w drodze składek kapitał potrzebny. Dzięki zatem ponownej subwencyi pierwszego inicyatora konkursu stoimy u celu dążeń naszych i przystąpimy niebawem do ogłoszenia warunków literackiego wyścigu.

Dziś poczuwamy się do obowiązku wyrazić na tem miejscu publiczne podziękowanie dla p. Niesiołowskiego i wszystkich tych ofiarodawców, którzy groszem swoim przyczynili się do położenia materyalnej podstawy dla zamierzonego dzieła, a czynimy to w głębokiem przekonaniu, że konkurs wzbogaci piśmiennictwo poznańskie nie jedną lecz kilku poważnemi pracami i powoła do życia najpiękniejszy pomnik, jaki dla męża tej miary, co Karol Marcinkowski, zbudować może społeczeństwo. W literaturze polskiej dotkliwie uczuć się dawał brak historyi W. Ks. Poznańskiego w okresie pierwszej połowy bieżącego stulecia. Pojawiło się wprawdzie na półkach księgarskich i w odcinkach dzienników naszych kilka pamiętników historycznych, ale w chaosie luźnych notat i pobieżnych zapisków rozpływał się obraz społeczeństwa, jego dążeń i prądów, pozostawiając w umyśle czytelników tylko wspomnienie oderwanych, a często tendencyjnie zabarwionych faktów i wydarzeń. Potrzebę historycznego poglądu na ewolucyę W. Ks. Poznańskiego w pierwszej połowie bieżącego wieku wyrażono niejednokrotnie w czasopismach naszych, a jeżeli głos ten pozostawał bez echa, to przyczyny szukać należy częścią w braku poważnych sił naukowych na poznańskim gruncie, częścią w braku dokładnych monografii, stanowiących materyał do obszernej i wyczerpującej pracy historycznej. O ludziach, którzy przed rokiem 48 kierowali społeczeństwem naszem, o Mielżyńskim, Libelcie i największym z wszystkich Karolu Marcinkowskim, literatura skąpych tylko udziela wiadomości, a monografii na szersze obliczonych rozmiary nie posiada wcale. Wszystkie te postacie giną w mgłach mętnej tradycyi, rozpływają się w potopie drobnych i oderwanych faktów, przechodzą w zapomnienie wraz z ludźmi, którzy na ich dążenia i walki własnemi patrzeli oczyma. A przecież była to epoka wielkiej ewolucyi w społeczeństwie, była to epoka, w której pojawiły się pierwsze dążenia budowania przyszłości na podstawach nowych, więcej realnych, choć dalekich od jednostronnego utylitaryzmu i oportunizmu dyplomacyi dzisiejszej. W dziejach tej walki, która się skończyła chwilowem rozbiciem dążeń organicznych, a znacznie później w odmiennej formie powtórzyła na gruncie warszawskim i galicyjskim, postać Karola Marcinkowskiego stoi jak olbrzymi słup światła, roztaczający promienie swoje wokoło, jak potężne wcielenie wielkiej energii, i wielkiej miłości, jak kolumna, o którą przez lat kilkanaście opierało się całe społeczeństwo poznańskie, jak Opatrzność ludu, szukającego po ciemku drogi zbawienia.

Takiemu olbrzymowi ducha i czynu należy się więcej, niż pomnik z marmuru lub spiżu, — należy się w pierwszym rzędzie pomnik literacki, streszczający nietylko dzieje człowieka, lecz dzieje instytucyi, które z ramienia jego powstały, charakter ludzi, z któremi żył, pracował i walczył, barwę epoki, na której piętno wycisnął. Kładziemy zatem kamień węgielny, wzywając ludzi nauki i wiedzy, by rozpoczęli budowę.

POLITYKA.

Obrachunki polityczne.

(I. Rosya wobec Polski).

(Dokończenie.)

Publicyści rosyjscy czujną opieką otaczają tryumfy samowoli w Polsce, dając poklask każdemu nowemu bezprawiu i zachęcając do dalszej gorliwości w tym kierunku. Im się zdaje, że każdy ich artykuł wbija gwoździk do trumny Polski, a przysparza cegiełkę do ruszczyzny. Pierwsze *może być* prawdą, drugie jest *złudzeniem*, bo tą polityką sprowadzają klęskę na własną ojczyznę.

Niebezpieczeństwo na wypadek wojny może grozić Rosyi tylko na terytoryum ziem polskich. Tam bowiem stosunki nie uregulowane, ludność zrozpaczona ciągłemi prześladowaniami. Rosyanie w poczuciu swej potęgi na fakt ten nie zwracają uwagi, dla nich Polska jest tak mała, że z nią liczyć się nie potrzeba. Paul Martin w dziele „Francais et Russes“ przekonywa rodaków, że przymierze z Rosyą nie jest korzystne z powodu militarnej słabości północnego kolosu. Słabość zaś jego wynika głównie z trudności i nienormalności warunków mobilizacyjnych. Napełniać kadrów Polakami i posyłać ich na pierwszy ogień, szczególniej przeciw

Austryi, nie zechce, — sprowadzanie zaś żołnierzy z prowincyi dalekich, a odsyłanie Polaków do pułków formujących się na wschodzie, rzecz kłopotliwa i w zamęcie wojny niezmiernie trudna. Strategicy rosyjscy trudność tę rozumieją i ztąd takie nadzwyczajne nagromadzenie wojska na terytoryum Królestwa Polskiego. Brak rezerwy na miejscu i powolność mobilizacyi mają być zrównoważone przewagą liczebną nad sąsiadami. W tej manipulacyi daje się uczuć wielki brak kadrów tak na wschodzie jak na zachodzie. Jenerał Hurko z tych właśnie względów wpakował miliony w budowę fortec.

Słowiańskość i Słowiańszczyzna były zbyt wiele razy i zbyt ważnym atutem w grze Rosyi i zawsze jeszcze nim być mogą, aby ich się miała wyrzec dla jednego niepowodzenia. Cała polityka Rosyi przez wiele lat dziesiątków w tę stronę się kierowała. Polska, a właściwie stosunek do Polski byłby musiał być przeszkodą w polityce słowiańskiej Rosyi, — Polska jest nieobecną w koncercie mocarstw europejskich, siłą w razie jakiegoś starcia narodów prawdopodobnie nie będzie, ale gdy chodzi o wpływ wśród Słowian, Polacy, jako sprzymierzeńcy, mogą okazać wielką pomoc, a jako ofiara samowoli mogą być bardzo szkodliwi.

Słowem, jeżeli Rosyi wypadnie zmierzyć się z zachodem, posiadanie Polaków po swojej stronie tylko jej przydać się może, uwolni ją od wielu niedogodności, a w razie potrzeby stanie się poważnym orężem w walce, a w każdym razie wytrąci z ręki nieprzyjacielowi broń, na którą ten silnie rachuje. Wojna to wielkie nieszczęście, po niej zostają tylko zgliszcza i ruina, ludność wojny żądać może chyba z rozpaczy, gdy ucisk przebierze zupełnie miarę. Polacy, jeżeli tylko warunki ich bytu ulegną zmianie, bronić będą pokoju wszelkiemi siłami, bronić go będą w Rosyi, w Austryi i Berlinie.

Pojednani z jednej strony z Austryą przez Galicyę, z drugiej z Rosyą, Polacy nie zechcą wojny i niepewnych jej skutków, pojednanie zaś Rosyi z Austryą pozbawi Prusy sojusznika, przez co i z niemi stosunki pokojowe staną się łatwiejsze. Oczywistą też jest rzeczą, że dla Rosyi, dla dynastyi o wiele przyjemniejsze będzie przymierze z monarchami, niż słuchanie w Petersburgu dźwięków marsylianki.

Dzisiejsze usposobienie i dzisiejsze stosunki w Galicyi są dowodem pośrednim wprawdzie, ale silnym, że porozumienie się Rosyi z Polską jest możliwe. W Rosyi przestworu dosyć, — ludzie miejsca sobie nie zajmują, zabraknąć raczej może rąk niż pola do pracy. Rosya jest w stanie dać Polsce bez żadnej ujmy dla siebie wyborne warunki ekonomicznego rozwoju. Gdyby Rosya zmieniła politykę względem Polaków, to pierwszaby spotężniała, a Polska wzmogłaby się na siłach. Wiedzą o tem sąsiedzi i prowokują prześladowanie ze strony Rosyi. Urzędowy historyk cesarstwa Hohenzollernów, Liebel, świadczy, jak wielki niepokój panował w Berlinie, gdy Wielopolski w czyn wprowadził politykę ugodową, jednać usiłował Polaków dla interesu Rosyi i jakich starań użyto, aby dzieło wielkiego męża zburzyć. Zmiana postępowania rządu rosyjskiego w Polsce, wprowadzając wzajemne stosunki na inne tory, ubezwładniły fatalne dla obu narodów słowiańskich machinacye Niemców.

Pokolenie Rosyan z roku 1863 udziału w rozbiorach nie brało, ziemie polskie dostali w spadku po dziadach. Usposobienie Rosyan względem Polaków było w początkach panowania Aleksandra II jak najlepsze, otaczano nas zaufaniem; — Rosya przebywała wtedy epokę wielkich nadziei, w imię tych nadziei obudzono w sobie sympatye polskie, widząc w nich niejako sprzymierzeńców na nowej drodze państwowego życia.

Powstanie nasze było pierwszym zawodem, pierwszą skazą na gmachu nadziei. Ono spaczyło reformy, a może nawet je powstrzymało, dało, jeśli nie przewagę, to siłę żywiołom wstecznym. Dla wewnętrznego rozwoju Rosyi powstanie polskie było dotkliwym ciosem. Rosyanie przez nienawiść nie chcieli uznać pobudek, dążeń i stanu psychicznego Polaków. Wobec ustępstw, zrobionych w r. 1861 i 1862 uważali Rosyanie powstanie nasze za objaw niewdzięczności politycznego bezcelowego warcholstwa. Nie chcieli zrozumieć, że historya narzuca obowiązki, które spełnione być powinny, które spełnione być muszą.

Zrzec się bytu niepodległego od razu, dobrowolnie, bez wyczerpania wszelkich środków i sposobów, mógłby tylko naród w ostatniem stadyum moralnego rozkładu. Nie ma narodu, któryby się o wskrzeszenie ojczyzny nie porwał przynajmniej dwa razy, choćby bez nadziei zwycięztwa.. Walki o niepodległość przez naukę i poezyę uznane zostały bez protestu za najszczytniejsze momenty dziejowe, za objaw wielkiego znaczenia cywilizacyjnego. Rosya ma w swoich dziejach takie momenta, wie, co one znaczą, umie je święcić, a jednocześnie powstania polskie, które niczem innem nie były, uważa za zbrodnię. O nowej erze życia politycznego marzono we Francyi, w Niemczech, w Rosyi. Czemże innem, jeżeli nie marzycielem, był Aleksander Herzen, którego czytano z formalnem upojeniem? Marzenia Włochów, bardzo podobne do naszych, świeżo się były wtenczas ziściły.

Powstanie było błędem politycznym, który się powtórzyć nie powinien, było prawdziwą klęską, było nieszczęściem olbrzymiem, ale stan psychiczny społeczeństwa polskiego w owej chwili każdy uznać powinien za zrozumiały i dający się usprawiedliwić.

Dziś nikt łudzić się nie zechce, iż pięściami zdobyć można karabiny, a karabinami armaty, nawet skrajne żywioły nie wierzą, aby można wygrać wojnę z Rosyą.

W chłopie polskim pokładają złudne nadzieje z jednej strony państwowi propagatorzy ruszczyzny, z drugiej strony nasi rewolucyoniści. Pierwszym się zdaje, że popierając jego interesy i niesłuszne zatargi w stosunku z dworem, schlebiając jego chciwości, pozyskają go dla państwa i narodu rosyjskiego, drudzy wierzą święcie, że lada dnia na głos ich wstaną masy chłopskie, zabrzęczą kosy... I jedni i drudzy są w błędzie.

Chłop przywiązany jest do języka, do ziemi, do wiary, a jeżeli nie ma zupełnej świadomości *swego ja narodowego*, to owo gwałtowne i szorstkie ciągnięcie go ku ruszczyźnie, robienie zeń ślepego narzędzia celów państwowych, wywołuje w nim pierwsze błyski świadomości. Jeszcze więcej do rozbudzenia ducha narodowego przyczyniają się szykany w gminie, szkole i kościele.

Jest wręcz przeciwnie, niż mniemają w Rosyi; do jakiegoś ruchu zbrojnego może tylko doprowadzić dzisiejsza polityka, jeżeli rozwijając się w dotychczasowem tempie, dojdzie do ostatecznego kresu. Odwrotnie ustępstwa polityczne i narodowe, zapewnienie istotnej opieki państwowej dla społecznej pracy naszej wytworzyćby musiało spokój i obudzić chęć utrzymania pomyślnych stosunków.

Od roku 1863 wieleśmy się nauczyli.

Trzeba zaślepienia naszych rewolucyonistów, aby twierdzić, że w atmosferze ucisku duch piękniej rozkwita i potężnieje. Ucisk tylko upadla, cnoty narodowe trwają nieraz podczas katuszy najstraszliwszych, ale to nie wskutek ucisku, lecz dzięki potędze sił wewnętrznych narodu. Czołgać się musimy i kłamać. Nie mamy szkół, tylko warsztaty polityczne, gdzie wszystko zionie nienawiścią do naszej przeszłości, teraźniejszości, przyszłości, gdzie usiłują polskie dzieci przerabiać na Rosyan. Nie mamy opinii, nie mamy warunków pracy, nie mamy sprawiedliwości, dążą do tego, aby nas wytępić i zdeprawować.

Polakom i dziś wolno robić karyerę w dalszych częściach państwa, ale niechętnie i tylko z konieczności opuszczają kraj rodzinny, ci jednak, którzy iść muszą, szczerze poświęcają swoją wiedzę, talent i pracę społeczeństwu nie-

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— Mogę tylko pochwalić się tym przymiotem, nie najgorszy on z pośród tych, jakie człowiek posiąść może. *Tout comprendre c'est tout pardonner!* — w słowach tych więcej mieści się prawdy, niż sądzą zazwyczaj. A wracając do naszej sprawy, sądzę, że nie ma nieszczęścia: byłoby w tym tylko wypadku, gdyby Nörgaard dowiedział się, od kogo list pochodzi, a nie ma on o tem pojęcia.

— Zapewnie bezimiennie listu tego nie napisałaś? — spytał doktór.

Engelke zaprzeczyła głową.

— Nie, — odrzekła.

— Naturalnie!

— Ależ to się rozumie samo przez się! — wykrzyknął zniecierpliwiony Bergström — niktby inaczej nie postąpił. Zachodzi teraz tylko pytanie, czy Nörgaard dostał list ten do rąk, czy też go nie dostał. Jeżeli go nie widział, co prawdopodobniejsze, to nic się nie stało.

— A dla czegoż miałby listu nie widzieć? spytał gniewnie doktór.

— Wnoszę to chociażby z tego, że od tygodnia jest już w mieście i nie daje znaku życia. O ile go znam, nie oszczędziłby nas, gdyby coś miał w ręku.

— Ale cała właśnie rzecz w tem, że go nie znasz, mój drogi! rzekł z niechęcią doktór. Milczenie jego niczego nie dowodzi jeszcze. Gdyby mi ktoś powiedział, że siedzi on teraz w domu i obmyśla plan zemsty przeciwko nam, nie byłbym zdziwiony. Przeciwnie, nie ma on najmniejszego powodu być dla nas szczególnie życzliwie usposobionym. Nie zapomnij, jak postąpiliśmy z nim nielojalnie; Engelke prawie od dzieciństwa była z nim po słowie jakby, może ją kochał nawet, kto wie... naraz odwraca się zupełnie od niego, by tobie rzucić się w ramiona. Możesz być przekonanym, że nie omieszka on skorzystać teraz ze sposobności, by się zemścić!...

— Ależ ojcze, mówisz, jakby on na pewno już o tem wiedział.

— Mam wszelkie dane, aby przypuszczać najgorcze... a teraz u licha... zupełnie w jego jestem szponach!

Gorączkowo przebiegać począł tam i napowrót.

Wreszcie zatrzymał się przed Engelką, która spokojnie, z oczyma spuszczonemi siedziała.

— Mój Boże! a ja cię tak prosiłem, głupstw tych nie robić!

Engelke spojrzała zdziwiona na ojca.

— Bardzo cię prosiłem; najwyraźniej powiedziałem, że przykroby mi było, gdyby ktoś z móich list taki napisał; przypominasz sobie? Doniesienie takie zupełnie byłoby słusznem i na miejscu, gdyby od kogo innego wyszło. My za nadto związani jesteśmy stosunkami z Nörgaardem, ażeby coś podobnego uczynić: uważanoby to za zemstę, zemstę osobistą, małostkową. Ale ty, czy pomyślałaś o tem? rozumie się, że nie! Chciałaś tylko swej własnej dogodzić próżności i własne myśli wykonać! A że przytem swoich najbliższych na wielkie narażasz przykrości, to ci obojętne, jeżeli tylko gniew swój ku temu człowiekowi nasycić mogłaś do woli! Brzydko postąpiłaś, nigdybym się tego po tobie nie był spodziewał, Engelko!

Na ustach Bergströma pojawił się uśmiech ironiczny.

— Co do mnie — rzekł — nie miej wyrzutów sumienia. Nörgaarda się nie obawiam, a jego możliwe prześladowania zniosę ze stoicyzmem i rezygnacyą.

— No, zapewne, cóż o tobie mówić? Nie jesteś niczem więcej, jak dowcipnisiem, który potrafi tylko ośmieszać ludzkie braki i wady. Ciebie nikt nie bierze na seryo. Co innego ja...

— Kassander! mruknął Bergström.

przyjaznemu sobie i swoim. Odznaczają się szczytnie na wielu stanowiskach, a świeżo pisma rosyjskie przytoczyły chlubne świadectwo, dane przez jenerała Sinielnikowa kilku tysiącom zesłańców za rok 1863. Ciężko pracując fizycznie przy budowie kolei, potrafili wzbudzić dla siebie uznanie, szacunek i współczucie, a przykładem swoim wywierali zbawienny wpływ na ludność miejscową.

Całą argumentacyę powyższą — mówi w końcu autor — oddajmy pod sąd czytelnika polskiego, bo jest rzeczą nader ważną *dla nas samych*, aby nabrać przeświadczenia, że stosunki dzisiejsze, jako nie dające się uzasadnić racyonalnie ze stanowiska państwowych interesów rosyjskich, długo trwać nie mogą. Sprawa polska będzie niewątpliwie często jeszcze przedmiotem narad i sporów. Głos nasz przez Rosyan prawdopodobnie nawet usłyszanym nie zostanie, to jednak nie czyni go bezużytecznym. Niewątpliwie bardzo a bardzo ważną jest rzeczą, aby oni poznali i zrozumieli istotny stan rzeczy, ale za sprawę o wiele jeszcze ważniejszą i pilniejszą uważamy wyświetlenie sytuacyi dla nas samych i porozumienie się w najważniejszych dla nas zagadnieniach społecznych. Przywrócenie praw politycznych i narodowych żywiołowi polskiemu wobec tego, że nie widzi on dziś możności oderwania się od Rosyi, mogłoby ostatniej przynieść tylko korzyści, wytworzyłoby bowiem poczucie solidarności z tem państwem, jak się to stało w Galicyi. Prędzej czy później wzniosą się publicyści rosyjscy ponad dotychczasowe swe stanowisko względem Polski, a skoro się tylko ukaże na horyzoncie życia politycznego Rosyi jeden mąż stanu wyższego polotu wśród doradców młodego monarchy, widocznie obdarzonego od natury szlachetnemi i humanitarnemi popędami, wtedy bezcelowa i szkodliwa polityka, oparta na usunięciu *z pod prawa* milionów obywateli, upadnie.

Na tem kończy się broszura publicysty warszawskiego, ale zdaje się podług liczby I, umieszczonej pod tytułem i szczególnego uwzględnienia stosunków zaboru rosyjskiego, że jest to dopiero część pierwsza obszerniejszej pracy i że wszystkie trzy rządy zaborcze znajdą w książkach tych należytą ocenę. Z ciekawością oczekujemy dalszego ciągu. *X.*

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„Dziennik Kujawski" poświęca w numerze 160 artykuł pełen uznania bydgoskim „Sokołom" z powodu zlotu zapowiedzianego na dzień 3 i 4 sierpnia. Z artykułu tego wyjmujemy ustęp następujący:

„Wśród zalewu obcego żywiołu i uprzedzonych do sokolstwa niektórych rodaków, „Sokół" bydgoski nietylko, że nie upada, lecz owszem wzmaga się w siłę. Karność, łączność i zamiłowanie do gimnastyki to kardynalne zalety Sokołów z nad Brdy. Słusznie też upowszechniło się pomiędzy sokolstwem wielkopolskiem zdanie, że druhowie bydgoscy to nie Sokoły od parady, nie panicze z wybladłem licem i z chwiejnym krokiem, lecz to całem słowem gimnastycy o silnych mięśniach i harcie duszy. Miło widzieć u nich taką świadomość celu należenia do „Sokoła"; na ogólną liczbę członków trzy czwarte jest ćwiczących, a pomiędzy niemi spora ilość w pełnym wieku. Nie dziw więc, że grono takich ludzi zamiast się zniechęcać przeciwnościami, świeci żelazną wytrwałością, tak rzadką u Polaków, w raz obranym kierunku swych dążności.

Na uroczystości tej będzie poświęcony nowy sztandar; będzie to niejako uwieńczenie pracy dziesięcioletniej.

To dar od patryotycznych Polek bydgoskich. Śliczną tę chorągiew o barwie kujawskiej (żółto-czerwonej) zdobić będzie z jednej strony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej oraz herb miasta Bydgoszczy, a na szczycie chorągwi sokół srebrnopióry. Chcieli Bydgoszczanie mieć chorągiew w kolorach swego grodu, lecz niestety kolor ten jest — czerwono biały. Wiemy wszyscy, jakim wyrzutem sumienia jest ta barwa dla naszych najserdeczniejszych, dla tego zabroniono tego koloru".

W sprawie „Związku Towarzystw przemysłowych" takie wypowiada opinie „Goniec Wielkopolski":

„Są i dzisiaj jeszcze małe różnice w zapatrywaniach o znaczeniu Związku, ale w tem panuje zgoda, że komisaryaty, wydziały i patronaty, mianowicie z ludzi niefachowych złożone, nie będą nigdy dźwignią przemysłu, i że na tem polu reforma była konieczną.

„Nawet tacy delegaci, którym pewne sfery włożyły do kieszeni mandat głosowania contra Związkowi, ocknęli się w ostatniej chwili, przejrzeli i byli za chwalebną uchwałą mimo przeszkód, jakie im stawiano.

„Kto wspomni na to, że jeszcze przed trzema laty 4 Towarzystwa (Tow. Przem. w Poznaniu, Miłosławiu, Koźminie i Krotoszynie) oświadczyły się za Związkiem, ten z radością ogląda rezultat ostatniego Zjazdu; kto przypomni sobie, jak przed trzema laty ks. Stychel śmiałemi kroki dążył do opanowania całego ruchu przemysłowego pod zaborem pruskim, jak gwałcił, politykował, majoryzował, jak sprzeniewierzał się mandatowi, danemu mu przez komitet 33, ten po przebiegu obrad ostniego Zjazdu przyznać musi, że przemysł nasz wyemancypował się już z pod protekcyi lekarzy, adwokatów, księży i redaktorów. Podniósł to należycie pan mecenas Moczyński z Bydgoszczy i wielką mu przyznajemy racyę.

„A teraz przypatrzmy się Zjazdowi z innego stanowiska — skontrolujemy udział duchowieństwa.

„Najzacietszego przeciwnika Związku, ks. penit. Stychla nie widzieliśmy wcale. Ani jeden duchowny nie miał wykładu, odczytu, nauki; literalnie ani jeden nie oświadczył się szczerze za związkiem, ani jeden nie poparł go w czasie dyskusyi. W sekcyi organizacyjnej przemawiali jedynie ks. patron Wawrzyniak i ks. Kłos z Poznania. Pierwszy oświadczył się osobiście za Związkiem, ale go sobie nie życzył — drugi był stanowczym oponentem, obawiając się skoku, jakiby Towarzystwa przemysłowe zrobiły, przyjmując projekt Związku.

„Skok" jest, a kto nie chciał skakać, ten pozostał w tyle i przepadł.

„Pocieszającym jest objaw, że kiedy przed trzema laty projekt Związku miał tylko kilku gorliwych obrońców i przedstawicieli, to dzisiaj już cała falanga mówców przy nim obstawała, pocieszającym jest fakt, że kiedy dawniej 4 Towarzystwa dążyły do jedności, to dzisiaj ich blisko 40 uznało potrzebę emancypacyi i centralizacyi.

„Jest to na nasze stosunki rozwój ogromny, którego żadna krytyka zaprzeczyć nie zdoła.

„Wielką zasługę ma przy dokonaniu dzieła także dziennikarstwo, reprezentujące koła przemysłowe: w tem, że nie wszczęło przed Zjazdem kłótni i zwady, ani też dyskusyi nad projektem Związku.

„Byłoby to zbudziło opozycyę, która, spoczywając na smutnych laurach przedostatniego Zjazdu, myślała, że mieszczaństwo przemysłowe i rękodzielnicze da się wodzić na pasku".

Do wywodów powyższych nawiązuje „Orędownik" w nr. 164 następujące uwagi:

„W artykule, któryśmy wczoraj z „Gońca" powtórzyli, jest także wyrażona obawa przed niepokojącemi wpływami niektórych księży nie tyle na rozwój, ile na dalszy kierunek naszych Towarzystw Przemysłowych.

Ks. patron Wawrzyniak pocieszał się wprawdzie tem, że Zjazd kapłan zagaił i kapłan zakończył, ale za to „Goniec" podnosi, że ani jeden ksiądz nie miał wykładu, odczytu, nauki i że najzacietszy przeciwnik Związku, ks. penitencyasz Stychel wcale się nie pojawił na Zjeździe.

Jest faktem, że ks. Stychel pierwszy zaczął okazywać niezadowolenie z dotychczasowej organizacyi Towarzystw naszych, licznej, ale swobodnej, i dla tego pełnej życia i przez Zjazdy dostatecznie oddziałującej na ogół Towarzystw. Pierwszy zaczął strugać drzewo, by zbudować Związek — organizacyę z jednolitemi ustawami i jednolitym programem; za jego też staraniem pierwotnie ta rozlazła organizacya, zlepiona z zjazdów prezesów, Wydziału, z których niektórzy członkowie wracali — prawie na śmierć zameczeni — dyskusyą po części młócąca słomę już wymłóconą. Ludzie, którzy się tej ciesiółce ks penitencyarza Stychla bliżej przypatrywali, powtarzali jeden do drugiego: on nie buduje Związku, tylko klatkę dla Towarzystw Przemysłowych. Nie wątpimy, że był czas, kiedy ks. penit. Stychel całą duszą był oddany sprawie Towarzystw, ale jego udział w Redakcyi „Kuryera", jego zachowanie się wobec dr. Szymańskiego w Tow. kat. Rzemieślników polskich otworzyło oczy szerokim kołom i uprzytomniło, czego się w danym razie mogą spodziewać Towarzystwa po jego Związku. Dni wpływów ks. penit. Stychla były policzone; cofnął się sam od roku z Wydziału, ze wszystkiego, nawet na Zjazd nie przyszedł.

„Goniec" ma racyę, gdy zwraca uwagę na niknący wpływ duchowieństwa. Jak na polu politycznem przy walce ruchu ludowego z partyą dworską, tak przy tych powstających dopiero sporach około Związku Tow. — księża płacą koszta i tracą To nie nasze zdanie, to zdanie, które dość ogólnie na Zjeździe powtarzano. Nawet tak dzielny kapłan, jak ks. prałat Goebel z Kruświcy, dla którego wszyscy mają jedno uznanie, który jako naczelnik wydziału okazał wiele praktycznej mądrości, nie uratuje niknącego wpływu duchowieństwa

---

— Jestem człowiekiem, na którego oczy wszystkich są zwrócone — mówił dalej, zdając się nie słyszeć uwagi Bergströma.

— Znowu począł chodzić po pokoju. Nagle zatrzymał się przed Bergströmem.

— W końcu to wszystko okaże się kłamstwem! — zawołał.

— Co mianowicie?

— No, cała ta historya uwiedzenia dziewczyny i to wszystko!...

Bergström niecierpliwym ruchem ręki zaprzeczył.

— Możesz być przekonanym, że tak jest, nie ma najmniejszej wątpliwości nawet.

— Lecz skądże o tem wiedzieć mogą? Czy masz jakie oczywiste dowody?

— Dowody, dowody! rozumie się, że je mam!

— Naprzykład?

— Ależ mówiłem już niezliczone razy o tem. Znam lekarza, który leczył tę kobietę; od niego samego to słyszałem. Nie rozumiem, dla czego my jeszcze o tem wszystkiem mówimy.

— Wybacz, lecz ja nie jestem jeszcze tak zupełnie o tem przekonany. A wiesz, co czyni całą tę historyę trochę wątpliwą? Oto to, że przyjaciel twój zdaje się nic o niej nie wiedzieć.

— Sądzisz, że powinienem mu był ją powtórzyć?

— Bynajmniej; przypuszczam jednak, że wszystkie skandale kopenhaskie dobrze mu są znane, dlaczegożby więc miał o tem nie wiedzieć? To trochę podejrzane.

— Wcale nie. Przedewszystkiem możebnem jest, że on zna tę historyę, chociaż ze mną o niej nie mówił, a zresztą, gdyby jej nie znał nawet, śmiesznem byłoby opierać się na tem, że on czegoś nie wie. Jeśli jednak myśl ta cię niepokoi, postaram się przedłożyć ci dowody, że sprawa ma się tak, jak powiedziałem. Mogę nawet przywlec tu dziecię z flaszeczką, z całym aparatem...

Engelke cały czas siedziała bez ruchu, z oczyma w mówiącego utkwionemi. Bergström ujął jej rękę i spojrzał na nią: była blada i wzruszona...

— Możesz być spokojną! — rzekł tonem żartobliwym.

Pauli mierzył pokój wielkiemi krokami; po chwili stanął naprzeciw swej córki i uśmiechając się ironicznie, uważnie przyglądać się jej począł.

— Mogę ci powinszować — rzekł — dokonałaś oczywiście czynu wielkiego na świecie w tak młodym wieku... Czyn piękny, muszę przyznać! Przy pomocy kilku pociągnięć pióra zniszczyć szczęście człowieka, — i żeby to jeszcze wszystko! — zburzyłaś przyszłość całą człowieka uczciwego może!...

Bergström zerwał się zniecierpliwiony.

— Powiedziałem *może*, to przecież m wolno!... Zniesławiała nazwisko jego oszczerstwem może!... Tak, to są wspomnienia, do których z przyjemnością się powraca, gdy się jest starym.... które dzieciom jako przykład naśladowania godny polecać można.

Engelke nie poruszyła się nawet. Bergström tym razem nic nie odpowiedział; zadowolnił się wzruszeniem ramion.

Nastało długie milczenie.

Bergström probował mówić o czem innem, lecz rozmowa nie szła jakoś. Wkrótce więc potem wstał i pożegnał doktora, obiecując dostarczyć nazajutrz bliższych informacyi.

Engelke odprowadziła go do przedpokoju, słabo oświetlonego lampą.

Ubrał się w milczeniu, ukradkiem na nią spoglądając. Stała blada, z oczyma w dół spuszczonemi, o ścianę oparta.

Zbliżył się do niej i uścisnął czule.

— Dobranoc, ty moja! — szepnął.

Lecz teraz nie mogła się dłużej powstrzymać: odwróciła głowę i ciche, gwałtowne łkanie wyrwało się z jej piersi, wstrząsając całem wątłem jej ciałem.

— Ależ, Engelko! — zawołał, obejmując ją ramieniem, lecz słowa nie mógł znaleźć, by ją uspokoić.

— O, ja się tak boję, tak strasznie się boję! — łkała. Oparłszy głowę o jego piersi, płakała rzewnie, rozpaczliwie.

Nie pomoże też nic umiarkowane i pojednawcze stanowisko, jakie starał się dla duchowieństwa zakreślić ks. patron Wawrzyniak, bo kto wie, czy na to nie będzie za późno. Księża, którym głównie, jeżeli nie wyłącznie, przed walką kulturną i podczas niej zawdzięczamy zbudowanie fundamentów pod dzisiejsze Towarzystwa, z czasem mogą stracić wszelkie wpływy na nie. Nie oni wprawdzie stworzyli tę sytuacyę, ale w taką sytuacyę faktycznie się dostali“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ partyi staroruskiej, lwowski „Hałyczanin“ pisze o unii i jej znaczeniu:

„Jesteśmy szczerymi zwolennikami unii, ale tylko takiej, której dokonano na polu kościelnem i duchowem. Nie chcemy tej unii, która nas Rusinów wynaradawia i dąży do jednoczenia politycznego, identycznego z opolaczeniem. Rząd polski, jak tego uczy historya, kierowany ręką szlachecką i jezuicką, widział w unii cel polityczny i tak ją wyzyskiwał.

„Jedynie w celach politycznych Polska powołała do życia unią, która dla niej stała się zgubą, bo Polska upadła przez swą fałszywą wobec ludu ruskiego politykę. Niestety choć upadła, żyją dotychczas politycy polscy w kontuszach i czarnych kapeluszach, którzy dzieło prowadzą dalej. Niczego ich historya nie nauczyła, niczego nie zapomnieli, na kwestyę ruską swoich zapatrywań nie zmienili....

„Nadużycie unii doprowadziło do wojen kozackich. Wojny te tak silnie organizmem Polski wstrząsły, że upaść musiała....

„Twórcami unii z ruskiej strony byli Pocieja i Terlecki; z pewnością w ich intencyi nie leżały cele polityczne, nie myśleli o tem, że unia wyzyskaną zostanie w ten sposób, jak się to stało.

„My rocznicę unii święcić będziemy jako dzieło religijne, Polacy ją święcą jako akt polityczny...“

* * *

„Slovenski Narod“, organ partyi młodosłowińskiej tak pisze o Stambułowie:

„Nie można bez odczekania na wyświetlenie powodów zbrodni dziś już posądzać Rosyi, że jej ręka działała w ukryciu, bo Stambułow miał wielu osobistych nieprzyjaciół.

„Kto zna życie i działalność Stambułowa, nie może się dziwić, iż miał wielu wrogów nieprzejednanych. Jego rządy odznaczały się okrucieństwami, on to przelał krew Panicy, jednego z najdzielniejszych synów Bułgaryi. Polityka nieprzychylna Rosyi nie podobała się Bułgarom, bo oni w niej widzieli oswobodzicielkę z pod jarzma tureckiego. Lud bułgarski uciskany w sposób barbarzyński przez Turków pogańskich, nie widział i nie oderwał niebezpieczeństwa, grożącego mu od chrześciańskiej i słowiańskiej Rosyi.

„Stambułow miał umysł bystry. Nikt mu nie może odmówić, iż wielkie położył około swej ojczyzny zasługi.

„On to był jednym z najenergiczniejszych agitatorów i organizatorów powstania przeciw Turkom. Młodym będąc, układał poezye, w których Bułgarów wzywał do walki przeciw odwiecznemu wrogowi.

„Był gorącym patryotą bułgarskim, separatystą słowiańskim.

„Jeżeli w tym kierunku nieraz poszedł za daleko, to winą było tych, którzy go podmawiali. Smutno, iż się nie poznał na tem, że polityka jego źle oddziaływała na wzajemność słowiańską.

„Dziś z pewnością morderstwo jego wyzyskają wrogowie Słowian, ażeby nas pozbawić sympatyi świata ucywilizowanego. Może to ujemnie wpłynąć, zwłaszcza na ruch macedoński....“

* * *

„Dnevni List“, służący interesom partyi t. z. wielkoserbskiej, pisze o obecnych rządach w Serbii, zwracając się przeciw postępowcom:

„Jeżeli macie coś przeciw nam, nie karzcie za nas narodu serbskiego. Gdy cudzą obrożą ściśniecie nasze gardła zadławicie i siebie.

„Nam Austrya zamyka bezwzględnie granice dla wywozu, przecina arterye żywotne, a na to nic nie mówi Europa. Czemu nas materyalnie słabych nie bierze w obronę? Jeżeli nas umyślnie finansowo rujnują, jeżeli świadomie prowadzą do bankructwa, to i my bądźmy bezwzględnymi i nie poczuwajmy się do zobowiązań, które były po stronie obopólnej. Głównem źródłem zarobku był dla nas wywóz nierogacizny, tymczasem Austrya granice swoje zamknęła, wiedząc o tem, że fakt ten prowadzi nas do ruiny.

„Europa nie może nas zmusić, abyśmy jak dotąd czynili zadość zobowiązaniom, kiedy nie zmusza Austryi do otwarcia nam granic i patrzy z rękami założonemi, jak nas bezwzględność Austryi niszczy....“

* * *

Młodoczeskie „Narodni Listy“ piszą z powodu wycieczki bułgarskiej do Pragi:

„Bułgarzy są najmłodszym szczepem słowiańskim z punktu widzenia odrodzenia się Słowiańszczyzny. Historycznie są najstarszym, bo od nich przejęliśmy chrześciaństwo, a z nami reszta Słowiańszczyzny, jak to zgodnie świadczą i historycy rosyjscy.

„Bułgarzy w nowszym czasie okazywali nam sympatye szczególne, setki Bułgarów studyowało na uniwersytecie pragskim, pracowali oni szczerze nad słowiańskim związkiem duchowym, a wielu Bułgarów połączyło się z Czeszkami węzłem rodzinnym.

„Nikt z Bułgarów, pomiędzy nami przebywających, nie zabrał ze sobą przykrych wspomnień, owszem zawsze spotykaliśmy się ze słowami uznania dla czeskiej serdeczności, jaką każdemu Słowianinowi okazujemy.

„Bułgarzy, którzy nasz kraj poznali, starali się o to, aby zaznajomić z Czechami ogół społeczeństwa bułgarskiego. Dzięki temu silniej został zadzierzgnięty węzeł, łączący dwa narody. Wycieczka bułgarska przyczyni się do wzmocnienia tego węzła i tym sposobem nasza wystawa etnograficzna spełni znowu to, co było jej celem.“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Księga kobiet.

(„Das Buch der Frauen“ p. Laurę Marholm.)

Wiek dziewiętnasty stanowi w położeniu i życiu kobiet epokę ważnego przełomu. — Pomiędzy wielu kwestyami, które wysunął on na forum publicznych debat, wiążąc się z niemi lub z nich wynikając pojawiła się na widowni sprawa równouprawnienia kobiety i zainteresowała niemało umysłów. Dzięki temu zmieniały się stopniowo poglądy na jej wychowanie, przeznaczenie, zdolności umysłowe i właściwości charakteru a wraz z tem położenie kobiety przechodziło różne fazy.

Równocześnie ze zmianą stosunków — musiały się naturalnie wytworzyć i wśród samych kobiet typy nowe, odpowiadające charakterowi naszej epoki. Ponieważ zaś, jak wspomnieliśmy wyżej, epoka ta ma charakter przejściowy, nic też dziwnego, że w postaciach współczesnych kobiet, — tych właśnie, które są przodowniczkami niewieściego ruchu lub najwybitniejszymi przedstawicielkami kobiecego świata, zauważyć można pewnego rodzaju połowiczność i znamiona rozstroju wewnętrznego.

W kilku wybitnych typach kobiecych, które p. Laura Marholm w swej książce scharakteryzowała, objawy te wyraźnie zaznaczyć się dają, — a choć możnaby zakwestyonować prawo

---

On stał zakłopotany, zlekka kołysząc w swych ramionach małą jej drżącą postać; nie wiedział co do niej mówić; w milczeniu całował jej włosy i gładził bladą jej twarzyczkę. Stali tak dość długo; wreszcie powoli uspokajać się poczęła. Podniósł jej głowę i na załzawionych jej oczach długi wycisnął pocałunek.

Wtem usłyszeli kroki w mieszkaniu. Engelke wyrwała się z jego objęć i szybko do drzwi się zbliżyła.

— Bądź zdrowa, najdroższa! przybędę jutro!

Skinęła mu zdala głową na pożegnanie i za drzwiami znikła.

Bergström sam otworzył drzwi, zeszedł ze schodów i udał się do domu; serce przepełnione miał smutkiem....

IV.

Gdy nazajutrz rozpoczął poszukiwania swoje, celem sprawdzenia owego stosunku Nörgaarda, — zauważył, że jego dotychczasowa pewność nieco była zachwianą. Do wczorajszego dnia, ani na chwilę nie wątpił, że rzecz się miała tak, jak utrzymywał. Teraz postanowił bliżej ją zbadać. Przypomniał sobie, że mu ją ktoś, przed kilku laty opowiedział, a przez czas ten przybrała ona w umyśle jego tak rzeczywiste kształty, że stała się dlań w końcu faktem niewątpliwym. Nie przychodziło mu nawet nigdy na myśl zapytać się siebie, dla czego? Wczoraj dopiero, zapytania stanowcze doktora wywołały w nim pewne wątpliwości, zaś obawa i szczery smutek Engelki tak bolesne zrobiły na nim wrażenie, że większą część nocy przemyślał nad rozwiązaniem tej zagadki przed sobą samym. W jakiej postaci rzecz ta pierwotnie mu się przedstawiała, jak to było z początku samego? Niełatwa to była rzecz dotrzeć do prawdy; gdyż im więcej zagłębiał się w sprawę tą, tem mniej konkretnych widział w niej punktów, — a wszystko jakby mgłą ciemną otoczone.... Powoli chwiać się poczęły podwaliny, na których gmach dotychczasowy spoczywał — aż wreszcie wszystko zawisło w powietrzu, rozpływając się w mgle śmiałych przypuszczeń....

Tymczasem w poszukiwaniach swoich natrafił na ślad całej tej sprawy. Przed kilku laty słyszał on o Nörgaardzie, który wówczas otrzymał był dopiero tytuł asesora, że nie jest on takim świętym ascetą, za jakiego chętnie chciałby uchodzić, że zapewne jak inni wygodnie życie sobie urządził. Bergström zapamiętał to sobie dobrze, co słyszał, a nawet do pewnego stopnia był tem ucieszony, gdyż Nörgaard, który pilnością i energią wszystkich prześcigał kolegów, tem samem do nich się zbliżał i w końcu nie lepszym był od innych. Po niejakim czasie dowiedziano się znowu, że Nörgaard zerwał stosunek z pewną dziewczyną i niegodnie ją porzucił. Wskazywano nawet na pewnego młodego człowieka, dzielnego lekarza, który się zajął następnie losem biednej dziewczyny, zapewne jednak nie jak ojciec....

Cała ta historya zresztą tak była zwykłą, że byłby ją z pewnością zapomniał, gdyby przypadek nie zrządził, że poznał Nörgaarda w domu dr. Pauli. Od tej chwili zaczął się więcej interesować jego sprawami, a mówiąc o nim wiele z Engelką, powoli przypominał sobie te wszystkie słyszane wówczas szczegóły z jego życia, które powoli przybrały kształty rzeczywiste, tak że z całem przeświadczeniem, z oburzeniem zupełnie szczerem, opowiedział wówczas tę historyę. Teraz było to jasne dla niego.

Gdy więc nazajutrz wybierał się do owego lekarza, który bliższych udzielić mu miał wiadomości, prawie już wiedział, jaka będzie jego odpowiedź. Wszystko to, naturalnie okaże się nieprawdą — i już myślał o tem, w jaki sposób delikatny o tem Engelkę powiadomi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wysnuwania wniosków ogólnych na podstawie małej liczby, bo sześciu tylko psychologicznych monografii, to przyznać można, że i te sześć postaci do ciekawych uwag pole nastręczyć mogą.

Uwagi takie jednak mieć będą wyłącznie subjektywny charakter i do znaczenia pewników lub praw ogólnych pretensyi rościć nie powinny. Dowodzą tego nawet rozumowania autorki.

Laura Marholm była niegdyś zapaloną szermierką równouprawnienia kobiety, stronniczką tego ruchu, który zwalczając przesąd o niższości umysłowej niewieściego rodu, stara się dla niego wywalczyć współrzędne z rodem męzkim stanowisko społeczne, pozbawiając płeć silną wszystkich przez nią uzurpowanych monopoli. — Od czasu jednak, gdy stała się małżonką znakomitego skandynawskiego pisarza, Oli Hanssona, przerzuciła się w przeciwną ostateczność i w poczuciu niższości kobiecej a uznaniu wielkości mężczyzny niejednokrotnie wszystkie przekracza granice.

W książeczce, którą omawiamy obecnie, dowieść ona pragnie teoryi, już przez śp. Klementynę Tańską kwestyonowanej, iż kobieta jest zerem, które tylko obok męzkiej jednostki postawione, znaczenia nabiera. Szwedzka autorka w innych tylko słowach przekonanie to wyraża. Jej zdaniem kobieta — to powłoka, która zamyka próżnią. Jest ona istotą bez treści wewnętrznej — tę zaś nadać jej może tylko mężczyzna. Wszelkie dążenia kobiety do pracy, nauki, szerszej społecznej działalności, uważa autorka za szukanie owej wewnętrznej treści, — szukanie daremne, pełne bolesnych rozczarowań i gorzkich zawodów, póty, póki on kochający i kochany pustki jej życia wypełnić nie raczy.

Argumentów na poparcie jej przekonań dostarcza każdy przytoczony przez autorkę życiorys.

Marya Baszkircew, młode, wszechstronnie utalentowane dziewczę, które zabija się pracą nad siły, — to istota niekompletna. Trwoni życie w niezmiernej tęsknocie, niezmordowanej pogoni za czemś, coby wypełniło otaczającą ją pustkę, za jakiemś szczęściem niepochwytnem i wielką sławą lub szaloną miłością, a umiera w 23 roku życia, nie znalazłszy ni jednej, ni drugiej — rozczarowana do siebie samej — w poczuciu swej bezsilności, której ani praca, ani talent zwalczyć nie mogły. Jej pełen poezyi przedwczesny koniec opromienia jako zorza wieczorna uwielbienie dla mistrza Bastien Lepage, wobec którego ambitna dziewczyna chyli głowę, staje się pokorną, słodką i cichą. Nauczyła się zdumiewająco wiele, ale stworzyć nic nie zdołała, gdyż twórczość jest przywilejem jednostki — mężczyzny, — a nie zera — kobiety. Nie stworzyła nic, gdyż nic nie przeżyła, niczego w życiu nie zaznała, prócz swojej niezmiernej, bezbrzeżnej tęsknoty.

Pani Edgren-Leffler, księżna Cajanello — to sobowtór samej autorki. Do czterdziestego roku życia literatka zdolna, dzielna szermierka równouprawnienia kobiety, toczy zaciętą walkę z despotycznym rodem męzkim. Potem niezwyciężona bojowniczka ulega niezwalczonej potędze miłości i umiera pogodzona nietylko z brzydką połową rodu ludzkiego, lecz z samą sobą — z życiem — umiera szczęśliwa, spokojna, łagodna i słodka, rozpromieniona urokiem macierzyńskich rozkoszy.

Eleonora Duse jest kobiecym geniuszem na scenie. W sztuce szuka wrażeń, a gra jej jest tylko objawieniem jej wewnętrznej kobiecej natury. W każdej roli uwydatnia przedewszystkiem swą własną indywidualność, której główne cechy stanowią melancholia i szlachetność. Melancholia ta płynie z niesłychanego zmęczenia — a zmęczenie jest wynikiem pogoni za silnemi wrażeniami, których tylko sztuka dostarcza, a których w życiu znaleźć nie można. Ta sprzeczność między światem sztuki a światem rzeczywistości — wywołuje rozstrój wewnętrzny, który trawi jej istotę.

Najobszerniejszy i najciekawszy życiorys Zofii Kowalewskiej dowodzić ma również tej wrodzonej nicości kobiecej. Gdyby dowód ten zaakceptować, znaczyłby bardzo wiele, gdyż z pewne wśród całego zastępu samodzielnie pracujących kobiet trudno znaleźć równie znaną i ogólnie uznaną naukową wielkość. Zofia Kowalewska dzięki nadzwyczajnym zdolnościom i olbrzymiej pracy zdobyła taki stopień wiedzy, jaki tylko wyjątkowych mężczyzn udziałem bywa, i takie wysokie naukowe stanowisko, jakiego żadna współczesna nie osięgnęła kobieta. Imię jej jest na ustach tych wszystkich kobiet, które zwalczać pragną przesąd o umysłowej niedojrzałości płci swojej, jest ono hasłem w walce o równouprawnienie, choć Kowalewska szermierką emancypacyi nigdy nie była. Ale ta, która to imię nosi, nie zaznała ani szczęścia, ani zadowolnienia, ani spokoju. Życie jej było puste i chybione, w duszy panował rozłam wewnętrzny — brak jakiś — pustka, którą zresztą zbyt późno już odczuwać zaczęła, a której wypełnić nie udało jej się nigdy. Młodość swą poświęciła pracy, w wieku dojrzałym zapragnęła miłości, ale i miłość nie dała jej tego, coby ją z życiem pogodzić mogło, gdyż Kowalewska wydziedziczona była z jednego z najcenniejszych skarbów kobiety: „nigdy dla żadnego mężczyzny nie była wszystkiem“.

Wszystkie one, zdaniem Laury Marholm, są istotami nienormalnemi, dusza ich jest chora — i to chora na wewnętrzną próżnią, której nie wypełnią ani malarstwo, ani literatura — ani sztuka dramatyczna, ani matematyka i nauki ścisłe, gdyż wypełnić może ją tylko mężczyzna.

Wśród przytoczonych typów jest jeden tylko, który jaśniejszemi stąpał torami: skandynawska naturalistka *Amelia Skram*. Sprzyjało jej szczęście; wyrosła na słonecznej stronie życia, jak mówi Laura Marholm. Poznała ona i pokochała człowieka, który został jej mężem, a był zarazem jej przewodnikiem umysłowym. Pokierował on jej talentem, wskazał drogi właściwe, pomógł do osiągnięcia tego zakresu duchowego rozwoju, na który jej zdolności pozwalały, i dzięki pani Skram Amelia Müller zdobyła szczęście i wewnętrzną równowagę.

Znaczenie tego faktu osłabia przecież jedna trafna bardzo uwaga autorki. Twierdzi ona, iż istnieje ścisły związek między indywidualnością i szczęściem. „Są ludzie jakoby z jednego stworzeni odlewu i ci umieją zdobyć to, czego ich natura potrzebuje, umieją z życia wyssać soki żywotne dla swego rozwoju konieczne siłą działającą poza granicami ludzkiej świadomości, gdyż już w łonie matki rozstrzyga się kwestya, czy człowiek będzie istotą całkowitą czy złamaną wewnętrznie“.

Nasuwa się więc wątpliwość, czy Amelia Skram szczęście swoje zawdzięcza w wyższym stopniu mężowi czy owej właściwości natury swojej? Może „w łonie matki“ już zdecydowała się kwestya, że ma być szczęśliwszą i więcej zrównoważoną niż Marya Baszkircew, Zofia Kowalewska itd. Kwestya ta pozostaje nierozstrzygniętą, jak zresztą większość tego rodzaju psychologicznych kwestyi! Zkąd bierze się w duszach jednych spokój i harmonia, w innych ciągła walka i dysonans? Dla czego tylokrotnie życie ludzkie — nietylko życie kobiece — jest wiecznem dążeniem, tęsknotą, pogonią za czemś, czego osięgnąć nie można? Dla czego tak mało istot — nietylko wśród kobiet — umie się pogodzić ze sobą i z życiem, przystosować do warunków istnienia swoją naturę? Gdzie leży przyczyna? w człowieku, czy poza nim? w duszy jego, czy w kolejach życia, które mu los przeznaczył?

Być może, że dla każdej jednostki inaczej odpowiedź wypadnie, — zbyt pospieszne uogólniania zawsze do błędów doprowadzić mogą.

Sądzę, iż Laura Marholm grzeszy zbyt pospiesznem uogólnieniem swoich krańcowych przekonań. Twierdzenie, iż mężczyzna stanowi panaceum na wszystkie kobiece cierpienia, jedyne, wyłączne i niezawodne dla każdej kobiecej istoty, źródło nietylko szczęścia, lecz duchowego rozwoju, moralnej i umysłowej doskonałości, iż jest on zarazem rozwiązaniem wszelkich zagadek duszy kobiecej i wszelkich wewnętrznych jej walk i kolizyi — jest bezwarunkowo zbyt jednostronnem.

Gdyby kobieta istotnie stanowiła absolutną próżnią, lub inaczej mówiąc surowy materyał, z którego jedynie mężczyzna w pełni żyjącą istotę utworzyć może, to w rezultacie dla jej szczęścia i równowagi wewnętrznej byłoby rzeczą obojętną, kto tę martwą glinę na posąg przerabia — kto w tę próżnią swą własną treść wlewa. Bez oporu, obojętnie stawałaby się ona tem, czem ją czyni przeznaczony dla niej artysta.

A jednak przytoczone typy współczesnych kobiet skreślone przez p. Marholm okazują wprost przeciwne objawy. Nie zbudził do życia i nie natchnął treścią ani p. Kowalewski swej żony, ani p. Leffler późniejszej księżnej Cajanello — ani wreszcie pan Müller owej „z jednego odlewu“ późniejszej Amelii Skram.

O szczęściu, o rozwoju, o równowadze wewnętrznej tych kobiet decydował nie mężczyzna — lecz miłość, a tę miłość twórczą, uszczęśliwiającą, — owo słońce, pod którego jasnem promieniem istota kobiety rozwija się i zakwita, — rozniecić mógł tylko pewien wybrany mężczyzna. Jeżeli zaś kobiety współczesne, chcące być czemś same przez się, z większą trudnością na owego wybranego natrafiają, to może właśnie dla tego, że wyrobiły w sobie treść bogatszą, więcej skomplikowaną i mniej monotonną niż te, które zachowały prostsze, więcej prymitywne natury i są istotnie zerami postawionemi przy cyfrze. Trudniej dostroić do harmonii dwa wydoskonalone instrumenty, niż w takt uderzać w bęben przy muzyce katarynki. Pani Marholm przyznaje to zresztą poniekąd, a choć twierdzi, że współczesne kobiety wbrew swemu przeznaczeniu dążą do unikania mężczyzny, to jednak w innem miejscu utrzymuje, iż właśnie one, te, które same przez się czemś być usiłują, wnoszą do wspólnego pożycia większe bogactwo uczuć i lepiej są uzdolnione do spełniania właściwej kobiecej roli.

Co innego jednak twierdzić, że kobieta jest niczem, zanim się stanie „wszystkiem“ dla mężczyzny, co innego znów utrzymywać, że bez miłości i to miłości wzajemnej kobieta stać się może szczęśliwą, zrównoważoną, rozwiniętą w całej pełni istotą.

Pewien brak i pustka odczuwać się daje bez kwestyi w życiu każdej kobiety — (a może i w życiu każdego człowieka) — jeśli przeznaczenie zamknęło jej wstęp do owej cudownej krainy, którą czarodziejskie słowo „kocham“ otwiera. Sądzę też, że nikt z ludzi doświadczonych i trzeźwo na świat i życie patrzących nie wątpi, że ani nauka, ani literatura, ani sztuka nareszcie żadnej kobiecie tyle szczęścia zapewnić, tak życia wypełnić nie mogą, jak miłość szczęśliwa i macierzyństwo, że tych dwóch wielkich rozkoszy życia nic im w zupełności zastąpić nie zdoła. To też kobiety, które miłości i macierzyństwa nie zaznały, mogą być mądre i zasłużone, mogą żyć i pracować z pożytkiem dla społeczeństwa, mogą osiągnąć względną sumę szczęścia i udoskonalenia wewnętrznego — lecz w porównaniu ze szczęśliwszemi siostrami swemi zawsze uważane być muszą za wydziedziczone a poniekąd nawet niezupełnie rozwinięte, nie całkowicie normalne istoty.

Zachodzi tu jednak pewna trudna do rozstrzygnięcia kwestya statystyczna.

Jaki na ogół biorąc procent kobiet osięga tę najwyższą pełnią rozwoju, która zarazem najwyższą pełnią szczęścia zapewnić może?

Sądzę, że nie omylę się bardzo, wyłączając z góry wszystkie kobiety bezdzietne, gdyż macierzyństwo jedynie dopełnia fizycznego i moralnego rozwoju kobiety, stwarzając dla niej nowy świat uczuć, pojęć i obowiązków, rozszerza jej umysłowy i uczuciowy widnokręg, otwiera jej tak szerokie pole działalności, że najdzielniejsza, najbogatsza natura wyczerpnie prędzej wszystkie swoje moralne i umysłowe zasoby, wszystkie siły żywotne, zanim powiedzieć sobie zdoła: w tym kierunku już nic nie mam do zrobienia. Naturalnie nie chodzi tu wyłącznie o fizyczne macierzyństwo. Są matki i matki — a wbrew temu, co w tym przedmiocie od wieków bezmyślnie powtarzano, tysiączne fakty z codziennej rzeczywistości wzięte dowodzą, iż nie wystarcza urodzić

dziecko, aby odczuć w swej duszy cały ogrom miłości, poświęcenia, zaparcia się siebie, który zwykle pod określeniem miłości macierzyńskiej rozumiemy. Ta sama kategorya uczuć różne ma znaczenie u różnych osobników, zależnie od ich moralnego i umysłowego rozwoju, pod tą samą nazwą mieszczą się różne wartości, a im wyżej udoskonaloną jest natura ludzka, tem bogatszą treść wlewa we wszystkie człowieka dążności, uczucia i czyny.

Co mówimy o macierzyństwie odnosi się również do miłości. Do kategoryi kobiet uszczęśliwionych i udoskonalonych przez miłość zaliczyć nie można wszystkich tych, które kochały wzajemnie kochane, ani nawet wszystkich tych, które się z przedmiotem swej miłości na całe połączyły życie.

I miłość różnych ludzi różny miewa charakter, i harmonia dwóch przeznaczonych sobie istot może być głębszą lub powierzchowną, przelotną lub stałą, a jakże często kończy się zgrzytem przeraźliwego dysonansu. Bywają miłości przypadkowe, miłości przez zewnętrzne warunki wywołane, bywają i takie, które są nieszczęsną pomyłką, lekkomyślną zabawką, chwilowym kaprysem — a żadna z nich — bez względu na wynik ostateczny ożywczem źródłem doskonałości i szczęścia zostać nie może. Obserwacya faktów codziennych dowodzi, iż zbawienny wpływ miłości w życiu kobiet nie jest tak powszechnym, jakby to czytając niektóre ustępy książki p. Marholm sądzić można. Niektóre ustępy, powtarzam, gdyż inne niezmiernie ciekawe, stanowią dla jej przewodniej teoryi poważne znaki zapytania. I tak czytamy z racyi książki p. Egerton pt. Keynotes:

„Powtarza się w niej wiecznie ta sama kobieta, zawsze kochana przez wielkiego, ociężałego, komicznego mężczyznę, który raz jest poczciwy i spokojny, to znów dziki, gburowaty i opiły, raz ją poniewiera, innym razem na rękach nosi, a nigdy nie wie, co poniewiera, lub co na rękach nosi.“

Pisząc zaś o dzienniku Maryi Baszkircew mówi:

„Oto typowy los cywilizowanego młodzieńca i kobiety naszej epoki. On zbliża się do niej złamany, zaspokoiwszy swe pragnienie, ona wyniszczona pragnieniem wiecznie powstrzymywanem.“

A oprócz wyżej zaznaczonych, ileż to jeszcze w życiu trafia się wypadków, w których, mimo miłości, ani o harmonii, ani o udoskonaleniu mowy być nie może! ileż razy miłość i małżeństwo zamiast podwyższyć i rozwinąć, obniżają i ścieśniają naturę kobiety, zasklepiają jej widnokrąg, sprowadzają umysł do poziomu najpospolitszych, najbardziej filisterskich, najpłytszych interesów i poglądów, — a wszystko to zależy od tego, kogo kocha, jak kocha i jak jest wzajemnie kochaną. A ów mężczyzna, w którym p. Marholm zbawienie duszy kobiecej widzi, czyż zawsze stanowi w jej życiu wpływ dodatni i czynnik ożywczy? — czy nie poniża jej niekiedy, nie zaprawia cierpką goryczą, nie zaraża zepsuciem?

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę cały zastęp kobiet żyjących bez miłości, ogromną liczbę tych, które w niej nie znalazły szczęścia, lecz zawód, upokorzenie, niesmak lub nudę, — dalej i te jeszcze, którym przeznaczenie odmówiło największego błogosławieństwa losu i najwyższej dla kobiety macierzyńskiej godności, dojdziemy do przekonania, że to, co Laura Marholm i tylu innych jako normalne i najpożądańsze przeznaczenie kobiety uważa, zaledwie wybranek losu udziałem bywa.

Zaznaczyć jednak wypada, że znaczna większość kobiet, — szary tłum, złożony jak tłum każdy z przeciętnych miernot — nie odczuwa zbyt silnie braków swego istnienia, a do roli wybranek losu nie dorosłszy, nie rozumie jej, nie ceni i zadawalnia się dość łatwo swą połowiczną, pustą, treści i interesu pozbawioną egzystencyą. Do tej kategoryi zaliczyć można wszystkie panny na wydaniu, pragnące nie miłości, lecz małżeństwa, unikające nie pustki w życiu, lecz ośmieszonej roli starej panny: — mężatki, których mąż jest tylko generalnym dostawcą wszystkich przedmiotów potrzeby i zbytku, — matki, dla których dzieci stanowią tylko sposobność do zaspokojenia macierzyńskiej próżności, — słowem, cały rój gęsi i gąsek pospolitych.

Jeżeli istota kobiety jest próżnią, to jej dla zapełnienia tej próżni nie trzeba wielkiej miłości — wystarczą fatałaszki, gałganki, ploteczki i komeraże. O ile wyżej stoją te. które chcąc być czemś same przez się, pracują nad sobą, kształcą się, poświęcają nauce, sztuce lub służą umiłowanej przez siebie idei. Jeżeli trudniej osięgnąć im wewnętrzną równowagę i spokój, to tylko dla tego, że im kto wyżej dąży, tem więcej siły wytężać, tem więcej zawodów, więcej walk, pragnień i tęsknot przeżyć musi. Bogatsze, wyżej uposażone natury, więcej w życiu cierpień odczuwają, lecz też za to osięgnąć mogą taki stopień szczęścia, jakiego i pojąć nawet nie mogą „konchy, które w bagnie tają“.

Być może wreszcie, że wszystko co tu powiedziano nietylko do kobiet się odnosi, być może, że w życiu i charakterach mężczyzn odszukaćby można bardzo zbliżone analogie. Niewątpliwie i oni czasem odczuwają pustkę, którą tylko miłość szczęśliwa wypełnić zdoła, niewątpliwie rodzaj tej miłości oddziaływa na ich charakter, poziom umysłowy, na ich wewnętrzną równowagę, udoskonalenie i rozwój.

I. Moszczeńska.

Bohaterowie a poeci.

(Ciąg dalszy).

Nie ma poety, któryby w pewnym przynajmniej okresie rozwoju ducha swego nie był tego zdania, „że świata być nie powinno“ i że wszędzie i zawsze on jest jeden tylko, a z niego wszystko wypływa. A iluż na takiem stanowisku wytrwało do końca, „w dojrzalsze wchodząc lata“, nie pytając wcale siebie, jak Mickiewicz to zrobił: „czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali, aby o sobie tylko w każdej nucił dumie“. Zatrzymaliśmy się tu na t y p o w y c h usposobieniach i nastrojach poetów, na takich, od których najwięksi nie byli wolni, zbyteczna więc zastanawiać się nad poszczególnemi ich przejawami, nad tem wszystkiem, od czego się roi współczesny dekadentyzm poetycki. Wystarcza to, ażeby poetę przeciwstawić bohaterowi, Wiemy, że można byłoby przytoczyć masę przykładów, świadczących o wręcz przeciwnych powyższym usposobieniach poetów: wiemy o ich akcentach podniosłych, „bohaterskich“, i te wszakże nie zbliżają ich do bohaterów.

Bohater nie może żyć bez wcielenia w kształty konkretne, w formy społeczne wyznawanych przez się ideałów prawdy i sprawiedliwości; poeta może ich urzeczywistnienie odsunąć w jakąś mglistą nieskończoność dla niego jedynie widzialną i zrozumiałą, może się zadawalniać własnem urojeniem, kołysać się niem, usypiać etc. Poecie rzeczywistość zastąpi fantazya, jej wytwór uszczęśliwi go jak najistotniejsza realność; on go nawet utożsami z nią; dla tego nie będzie widział potrzeby działania, owszem, niekiedy nawet będzie go unikał, gdyż działanie może urzeczywistnić ideał jego w formie niezupełnej, może oszpecić i wykoszlawić, a myśl czegoś podobnego do rozpaczy przywodzi poetę. Bohater przeciwnie, radby wszelką chimerę nawet, każdą fantazyę własną, natychmiast przyoblec w kształty, niecierpliwi go to wszystko, co jest tylko w myśli, a nie ma swego odpowiednika w otoczeniu, w którem się obraca; dla tego działanie, niepełne nawet, woli od najszczytniejszego kontemplowania idei. Ani Wiklef, ani Savonarola i t. p. nie mogliby zadowolnić się kontemplowaniem idei doskonałości moralnej, gdyż dla nich tylko wcielenie idei tej miało wartość, oni chcieli tę doskonałość mieć przed oczyma swojemi. Tak samo żaden Hofer, Garibaldi lub t. p. nie mogliby żyć w y o b r a ż e n i e m tylko szczęścia tej grupy ludzkiej, do jakiej należeli, gdyż szczęście to rozumieli jako coś takiego, na co można wskazać ręką, co stanowi formę ich życia. Tymczasem poeta może się oderwać od ziemi, przenieść się w świat własnych marzeń i o wszystkiem zapomnieć. Może powiedzieć n. p.: „Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną, gdzieindziej pójdę i lud pójdzie za mną!“ — i po wydaniu takiego okrzyku spokojnie stać w miejscu, albo pójść w przeciwnym zupełnie kierunku temu, o jakim mówił; ci, co porywali się wskazywać ludowi drogę, nie szli wcale „gdzieindziej“, lud szedł bez nich, prowadzony przez bohaterów. Poeta może brzmieć uroczyście peanem nadziei i mówić:

„Dość już długo, dość już długo
„Brzmiał na strunach wieszczów żal!
„Czas uderzyć w strunę drugą,
„W czynów stal, —

i z obawą myśleć o tej „stali“ czynów, o jej skutkach i ciosach, jakie zadać może. „Przeciw piekłu“ chce „kord podnosić“ i z chęcią tą bohaterską łączy bez trudu rojenia o jakichś zmartwychwstaniach cudownych, które ze sprawą czysto ludzką „podnoszenia korda“ nic wspólnego nie mają i od ludzi nie zależą...

I tak wciąż i najczęściej odnajdziemy u poety same tylko podniosłe wykrzykniki i gromy oburzenia, stojące w sprzeczności nietylko z jego czynami, ale nawet z myślą.

Do niego bowiem należy wydanie okrzyku, jemu trzeba przelatywać w wyobraźni z „błyskawicy na błyskawicę“, roztrząsać samego siebie siłą swego słowa i podziwiać własny polot ducha. W y o b r a ż a ć s i e b i e w d z i a ł a n i u i w y o b r a ż a ć i n n y c h d z i a ł a n i e i to należy do niego, nie zaś zlewanie w jedno słów i czynów. Poeta z temperamentu swego daje się porównać z temi organizacyami psychicznemi, co zadawalniają się wyobrażeniem tych przedmiotów i czynności, jakie ich potrzebom zadosyć uczynić mogą: bohater przeciwnie należy do tych, co po doznaniu podniety, po odczuciu pragnienia natychmiast chcą je zadowolnić, i nie wyczekując, wyciągają rękę po odpowiednie przedmioty.

Poeci, obdarzeni prawdziwie bohaterskim temperamentem, wątpili w końcu o skuteczności wykrzykników poetyckich i o wartości dzieł nawet własnych. Byron, wypowiadający wobec ruchu maszyn fabryki, którą zwiedzał, te pełne gorzkiego zawodu słowa: „tutaj więcej poezyi, niż we wszystkich moich rymach“, jest dobrym przykładem tego zwątpienia; kazało mu ono wreszcie szukać nie fikcyjnej walki słowami, lecz rzeczywistej, i chwycić za oręż w obronie wolności Greków, byle walczyć, t. j. działać. Wielkie słowa bohaterów, powiedzieliśmy wyżej, streszczają zawsze tę ich gotowość poparcia takowych czynem; czyż u poetów może być coś podobnego, kiedy większość ich szczytnych wykrzykników jest wytworem jakiejś nieokiełznanej działalności mózgowej? wynikiem tej bezwiednej cerebracyi, z jakiej sprawy sobie często nie zdają i za jaką wcale nawet nie są odpowiedzialni. Wir myśli, nad którym nie panują, porywa i unosi ich daleko; rezultatem tego jest nieprzebrana ilość zdań, przysiąg, przekleństw i t. p., które nie mają swych rownoważników w mocnem postanowieniu wypełnienia ich, gdyż z żadnych postanowień nie wypłynęły. Tego wszystkiego najczęściej ani oni sami, ani inni nie byliby w stanie urzeczywistnić, gdyż nie są to pojęcia, mogące przybrać kształty zmysłowe, lecz wyniki myśli oderwanej, czystej i to w dodatku wzburzonej, kierowanej prawami niedającego się powstrzymać kojarzenia wyobrażeń. Prócz tego nie zapominajmy, że poeta, najbardziej nawet wzniosłemi uczuciami przejęty, nie przestaje być poetą, t. j. człowiekiem, hołdującym pewnemu kunsztowi, dla którego chce coś zawsze zrobić: wywyższyć go, uświetnić etc. Ileż więc to wywołuje świetnych zdań, uroczych obrazów, myśli pełnych znaczenia, które tylko niestety w poezyi mają wartość! — a ile misternych zaokrągleń wiersza, dopełnień, porównań etc., które nic nie wyrażają i są tylko narzędziami jego sztuki! Entuzyazm poety bywa nierzadko z g ó r y p o w z i ę t y m, obmyślanym na chłodno: patos jego ma swoją dyalektykę i jest często logicznem rozwinięciem jakiegoś założenia, jest

przeto zwyczajnem rozumowaniem, któremu nie odpowiada żadne wzruszenie. Patos bohatera ma przeciwnie za punkt wyjścia zawsze jakieś zastrzeżenie całej jego istoty moralnej, wywołane najczęściej wrażeniem, pochodzącem z zewnątrz. Bohaterstwo jest zaprzeczeniem wszelkiego filisterstwa; poeta ogromnie niem grzeszy. Poeta zawsze rozwiązuje zagadkę szczęścia: kto zaś temu niewdzięcznemu zajęciu się oddaje, ten próbuje rozmaitych sposobów, ułatwiających takowe, szuka wciąż dróg, wiodących do szczęścia: szukając go, czerpie ze wszelkich źródeł rozkoszy i o nią dba przedewszystkiem. Najszczytniejsze dążenia, największe cele idą w ciemny kąt, kiedy ktoś zniecierpliwiony tem, że szczęście jest niepełne, a rozkosz zawodna, miota się na wszystkie strony, by choć na chwilę stanąć u szczytu upragnionej szczęśliwości. Ściganie rzeczy znikomych, nikłych i odnoszących się do istnienia przemijającego, ściąga ludzi z wyżyn i w poziomość wtrąca.

J. Słowackiemu nikt nie odmówi orlego polotu myśli, wzbijania się ponad szarzyznę powszedniego życia i potężnego pragnienia czynów podniosłych. Zdawałoby się, że człowiek, przesiąknięty do rdzenia istoty swej nieubłaganą wzgardą dla wszelkich „zjadaczy chleba“, potrafi uniknąć tych pospolitych pokus, na jakie każdy „zjadacz“ tuzinkowy jest wystawiony. A tymczasem w życiu Słowackiego tyle znajdziemy poziomych chęci i dążeń, tyle próżnostek i ideałów filisterskich, ile ich tylko u fachowych filistrów znaleść będzie można. Szczytny poeta nasz, gromiący swem potężnem słowem praktyczne trzymanie się ziemi, drwiący z pragnień, nie sięgających dalej końca nosa, jakże sam, w niejednej chwili swego życia, po mieszczańsku rozczula się i omdlewa, jak roi o spokojnym, cichym kątku, gdzieby mógł gruchać z panią serca swego, i jak drobniutkim uciechom się oddaje. (Ktoby się chciał o tem przekonać, niech zajrzy choćby do drobiazgowych prac o Słowackim p. Hösick'a).

Proszę nam wymienić bohatera, któryby odezwał się kiedy w te słowa:

„Qu' amour soit désormais la fin de nos desirs.
„Car pour eux seulement les Dieux on fait la gloire.
„Et pour nous les plaisirs“.

(Poeta francuski XVII w., Racan, uczeń sławnego Malherbe'a, w wierszu, poświęconym przyjacielowi swemu Bussy-Rabutin). Poeta wyrzeka się nawet tego, co jest nieraz głównym bodźcem w działaniach bohaterów, wyrzeka się i sławy dla przyjemności i rozkoszy zmysłowych, których jest niewolnikiem. Czyż inaczej postępuje ten, kto jak p. Tetmajer n. p. najszczerszej powiada po wielu odgrażaniach się i wybuchach, że „jedno mam tylko pragnienie rozkoszy“.

Może on wprawdzie wykrzykiwać i upewniać wszystkich, „że prócz sławy wszystko nic nie jest warte“, (Tetmajer), ale dąży do tej sławy wtenczas, kiedy się przekonał, że pożądanych rozkoszy nie dostąpi tak łatwo. Sława jest dla niego tylko „świetną żałobą po szczęściu“, jak powiada M-me de Staël, jest ostatnią ucieczką, nie zaś takim przedmiotem współubiegania się, któremu oddaje się pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi. Zresztą sława zdobywa się czynami nieśmiertelnemi, a jak tu mieć siły na ich spełnianie, kiedy się po lada zawodzie sercowym „umiera z żalu, omdlewa z tęsknoty“ i duszę ma się „z popiołów“? To nie są usposobienia sprzyjające zdobywaniu sławy! Do niej trzeba dążyć z takiem rozradowaniem wewnętrznem i tak ochoczo, jak dążył ów wojowniczy poeta wieków średnich, rycerz-trubadur Bertrand de Born, którego Dante spotyka w swem piekle niosącego w rękach własną okrwawioną głowę, co, chociaż nęcony powabami „słodkiej wiosny i miłym szczebiotem ptasząt“, przenosił nad to wszystko:

...quand sur lepré
Je vois l'étendard arboré
Flottant comme un signal de guerre;
Quand j'entends par monts et par vaux,
Courir chevaliers et chevaux
Et sous leurs pas frémir la terre...

Z tego rodzaju usposobieniem, przenosząc je w dziedzinę walk ducha, można tylko zdobywać wawrzyny! Wymaga ono jednak najczęściej wyrzeczenia się wszelkich rozkoszy, związanych ze „słodką wiosną i szczebiotem ptasząt“, podporządkowania mu czułych westchnień i tęsknot, z czem znowuż poeci niełatwo się rozstają, a raczej wyrzekają się wtenczas, kiedy, już z tej strony nic nie oczekują. Wtenczas dopiero wykrzykują: „Niech żyje sława!“

Jeszcze jedno przeszkadza poecie zostać bohaterem i nie wypuszczcza z uścisków filisterstwa: z zagadką szczęścia łączy się ogólniejsza sprawa: zagadka wogóle bytu a raczej śmierci. Poeta rozwiązuje i tę zagadkę sposób uniemożliwiający uskutecznianie wielkich czynów: on obawia się śmierci. Dręczy i niepokoi go myśl każdego unicestwienia jego jaźni, on nie może przystać na ostateczne jej zniszczenie przez śmierć, gdyż w tem widzi jakąś potworność, niesprawiedliwość natury. Wszystko, co jego bytowi zagraża, co rozwój jaźni przecina, uchodzi w jego oczach strwożonych za wroga, z którym wciąż trzeba walczyć. Jeżeli żąda niekiedy śmierci, to nie z pogodnem i radosnem usposobieniem bohaterów, którzy widzą w niej potwierdzenie i niekiedy tryumf najwyższy ich jaźni, on pragnie jej albo jako czegoś, co go uwolni od udręczeń i niezaspokojonych pożądań, albo jako ostatniej rozkoszy, która go nęci swą tajemniczością. (Weźmy choćby takich, jak Beaudelaire nekrofilów i t. p.). — Nastrój ducha, płynący z obawy śmierci, zradza tysiące chwiejnych usposobień, ubezwładnia wolę w dążeniu do dzieł nieśmiertelnych. Tylko ci, co z góry są przygotowani do tego, by żyć i na to, by umrzeć, co w istnieniu nie widzą zagadki pełnej obietnic uroczych, a w śmierci czegoś oburzającego i przeciwnego moralnemu porządkowi rzeczy, ci tylko do czynów nieśmiertelnych są zdolni. Poetom zdaje się nieraz, że to w nieprzerwanem trwaniu spoczywa nieśmiertelność; bohater wie, że to jedna chwila może ją mu zapewnić i wydobyć z nicości.

Wszystko to wytwarza w życiu poety mnóstwo „zależności“, które nie dają się pogodzić z pojęciem bohaterstwa. Bohater zależnym jest tylko od tej idei, jaką pragnie wcielić w życie. Stara się on złamać wszelkie przeszkody, krępujące go w tem i potęgą swej woli „przezwyciężyć“ samego siebie w chwilach odwodzących go od celów, którym się poświęca. O wszelkich słabostkach, ustępstwach i zależnościach poetów nie potrzebujemy dłużej mówić, gdyż te są aż nadto znane. Usuwamy nawet ztąd to wszystko, co jest hańbą pieśni, pomijamy ich płaszczenie się wobec potęg świata, schlebianie i kurtyzowanie możnym etc., co wszak do rzadkich wypadków ich życia nie należy: dość przejrzeć dzieje literatury powszechnej, by się o tem przekonać. Z pewnością byli inni poeci, tacy jak: Cervantes, Milton, Mickiewicz i t. p., ale ci nie stanowią większości. Paraleli naszej między poetą i bohaterem możemy już nie przedłużać: zbieraliśmy z jednej i z drugiej strony rysy wybitne, dające się w mniejszym lub większym stopniu odszukać u większości przedstawicieli obu. Rysy te wywodziliśmy głównie z organizacyi psychicznych odnośnych stron; z jednej znajdujemy pochłonięcie się ideą dla niej samej, dla celów ogólnych, z drugiej dla samych siebie, dla celów osobistych przeważnie: tu konsekwencya nieubłagana i nieugiętość w urzeczywistnianiu idei owych, oraz niesztuczne im hołdowanie, tam chwiejność, zmienność usposobień i więcej afektowanych, niż głęboko szczerych postanowień. Przyczyny tego wszystkiego leżą bez wątpienia w odmiennych organizacyach psycho-fizycznych bohaterów i poetów. Miękkie, wrażliwe na to, co się ich istnienia dotyczy — natury poetów, zaprzątnięte głównie dojmującemi ich wciąż bólami, nie mają potrzebnych sił dla wysiłków prawdziwie bohaterskich.

Są jednakże i inne, zależne od ogólnych warunków społecznych, od chwili dziejowej itp. okoliczności; także od ustalonych panujących pojęć o sztuce, jej zadaniach etc... Polot poetyckiego wieszczenia słabnie n. p. w epokach wielkiego zamętu społecznego; wówczas mało kto myśli o śpiewaniu, gdyż wszyscy działają. Takiemi n. p. były epoki wielkich wojen Rpltej Rzymskiej, okresu Napoleńskiego i t. p.; wtedy wszyscy byli przejęci poezyą czynu i na poezyę słowa niewielką zwracali uwagę. Wielki rozkwit poezyi następował najczęściej po przeminięciu podobnych epok dziejowych, kiedy pokolenia następne, kołysane wspomnieniami świetnej przeszłości i znudzone powszednością i martwotą własnego istnienia, „śpiewają tak, jakby działać pragnęły“, lub rozpamiętywują w spokoju i ciszy ducha dawno minione wypadki. Tak nastąpił rozwój poezyi łacińskiej w spokojnym względnie okresie panowania Augustów, tak też wzniosła się na szczyty najwyższe poezya francuska w martwej epoce Restauracyi. Dawniej poeci więcej żyli ogólnem życiem, gdyż do tego zmuszały wprost warunki społeczne istnienia jednostek; więcej był każdy myśliciel, poeta i t. p. obywatelem, pełniącym jakieś obowiązki społeczne; Eschylos był genialnym poetą dramatycznym i znakomitym żołnierzem, biorącym udział w wyprawach, od których zależał los Aten; Ksenofont był znakomitym historykiem i zdolnym dowódzcą; Sokrates pierwszorzędnym myślicielem fachowym i tak dzielnym żołnierzem, że gdyby wszyscy Ateńczycy tak bili się walecznie jak on podczas wyprawy na Samos, to nie doznaliby porażki. Dzisiaj inaczej; poeci są za nadto ludźmi fachu swego, za nadto w nim zasklepieni i odcięci od żywych zdrojów życia. Zdaje się im, iż głównym ich obowiązkiem jest służenie sztuce, pieśni i t. p. abstrakcyom: oni bezustanku wykrzykują: Eviva l'arte! Dzisiaj specyalizacya tłumi za nadto w ludziach to, co istotnie jest ludzkiem; myśliciel tylko myśli fachowo i dba o najbardziej wzorowe pełnienie tej czynności; poeta śpiewa także fachowo, troszcząc się głównie o doskonałość swego śpiewu i postępy w dziedzinie swego zawodu. Eviva l'arte! — okrzyk ten — dominujący nad innemi — wszędzie się rozchodzi. Bohaterstwo jedno nie zna, co to fach i zewsząd może się rekrutować.

W jednem tylko poeta równy jest prawdziwemu bohaterowi i to istotnym wyrazem właściwego mu bohaterstwa — mianowicie w poświęcaniu się sztuce. Tu zdolnym jest on, jak wszyscy twórcy, do cudów bohaterskiego zaparcia się samego siebie, składa siebie na ołtarzu celów nieosobistych. Żywoty takich genialnych twórców jak Kamoens, Cervantes, Michał Anioł, Cellini, Murillo i wielu, wielu im podobnych świadczą o tem, do czego są zdolni poeci-artyści, kochający namiętnie swą sztukę i żyjący dla niej. Nie zapominajmy jednak, że żyjąc dla sztuki, oni żyją przez nią, a to ułatwia im ich powyższe bohaterstwo.

Władysław Jabłonowski.

(Dokończenie nastąpi.)

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z literatury ekonomicznej.

(Wiaczesław Budzynowskij: 1) Agrarni widnosyny Hałyczyny. 2) Chłopska positist'a nowoczasni ruspilno reformatorski zmahania. — Wacław Budzynowski: 1) Agrarne stosunki Galicyi. 2) Chłopska własność a nowoczesne społeczno-reformatorskie dążności.)

Literatura ekonomiczna w Galicyi i o Galicyi do niedawna prawie nie istniała. Ani jedna strona ekonomicznego życia społeczeństwa nie była opracowaną, procesy ekonomiczne, jakie z elementarną siłą wśród społeczeństwa działały i wyciskały swe piętno na gospodarstwie społecznem kraju i jego stosunkach finansowych były dla ogółu społeczeństwa *terra incognita*. Dość wspomnieć, jaką sensacyę wywołała Szczepanowskiego: „Nędza Galicyi w cyfrach“, dzieło wcale nie najznakomitsze, z przestarzałymi nawet na swój czas datami, a chorujące bardzo na niedostatek objektywizmu. Już na większą uwagę zasługiwały prace Rusina Włodzimierza Nawrockiego, drukowane w rusińskich czaso-

pismach „Dile“, „Prawdzie“ i genewskiej „Hromadzie“, lecz nie były one dla Polaków dostępne z powodu języka, jak również dla tego, że „Hromada“ nie miała debitu pocztowego w Austryi. — Uwagę Polaków zwróciły dopiero rozprawki Iwana Franki w „Przeglądzie społecznym“, mające swą wartość przedewszystkiem ze względu na poruszane tematy, bo opracowanie ich, chociaż dość staranne, zdradzało często pióro niefachowca. — Esencyą tychże artykułów, systematycznie ugrupowaną, był IV. rozdział dziełka K. D. „Kilka słów o położeniu włościan polskich“, które wyszło przeszłego roku we Lwowie i zostało naturalnie skonfiskowane. — Dopiero dwie w tytule wspomniane prace W. Budzynowskiego prawie wszechstronnie wyświeciły jedną stronę życia ekonomicznego Galicyi a mianowicie położenie włościaństwa i zarobników wiejskich, i wykazały, jakie reformy są dla polepszenia dzisiejszego stanu drobnej własności konieczne. — Autor drukował pierwszą pracę „Agrarne stosunki Galicyi“ w „Zapyskach“ (Pamiętniku) rusińskiego Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki, a potem wydał ją również w osobnej odbitce. Jest to praca statystyczna. Na podstawie starannie zebranych oficyalnych i nieoficyalnych dat i cyfr autor bada własność ziemską większą i mniejszą, ich wzajemny stosunek, wyłaniające się zmiany i wszelkie z tych stosunków wypływające patologiczne objawy społeczne. Treść więc, jak widzimy szeroka, a opracowanie również znakomite. Na 90 stronnicach wielkiej ósemki autor starał się o jak najmniejszą ilość słów, a natomiast każde swe zdanie ilustruje cyframi i tabelami umożliwiającymi łatwiejszą oryentacyą w tym prawdziwym labiryncie tak, że książka jest znakomitym podręcznikiem dla każdego, kto chce zaznajomić się z stosunkami ekonomicznemi Galicyi.

Jedyną wadą książki byłoby chyba to, że niektóre dane są już zastarzałe, lecz można to wytłomaczyć tem, że autor zbierał daty dawniej, a układając je w systematyczną całość, nie mógł już korzystać równocześnie z drukiem książki pojawiających się dat urzędowych. Dzieło to zasługiwałoby niewątpliwie, aby je na język polski przełożyć naturalnie z większem uwzględnieniem zachodniej Galicyi i nowszych dat.

Druga praca „Chłopska posiadłość i nowoczesne społeczno-reformatorskie dążności“, przedruk z „Naroda“, organu rusińskiej partyi radykalnej, jest treści czysto teoretycznej. Autor socyalista, ze szkoły Marksa, wziął sobie za zadanie zbadać, czy chłop przy dzisiejszym stanie produkcyi drobnej może przejąć się ideałami socyalistycznemi, jakie hasła trzebaby podjąć przy agitacyi socyalistycznej i jaki należałoby postawić program reform zdążających do chwilowego polepszenia doli chłopskiej, a nie tracąc z oka głównego celu i ideału autora: kolektywizmu. Odpowiednio do tego założenia cała praca dzieli się na trzy wybitniejsze części. W części pierwszej stara się autor zbadać położenie ekonomiczne chłopa galicyjskiego i maluje je nie cyframi, jak w pracy poprzedniej lecz żywem słowem. Opowiada szeroko o zniesieniu pańszczyzny, przeprowadzeniu rewizyi serwitutów, katastru, o lichwie, po mistrzowsku maluje obecne położenie chłopów, ich stopę życiową itd. W drugiej części analizuje pojedyncze projekty reform agrarnych, jakie pojawiły się w ostatnich czasach prawie w każdym kraju, a mianowicie: działalność banku chłopskiego rosyjskiego, założonego w 1882 r. dla zakupna ziemi, projekt włości rentowych pruskich i austryackich, projekt Crispiego, dalej zamierzoną reformę agrarną na Węgrzech, jak również działalność „Kółek rolniczych“ i „Związku handlowego“ oraz rusińskiej „Narodnej Tortowli“. Autor poddaje ostrej krytyce dotychczasowe stanowisko socyalno-demokratów do chłopów i teraźniejsze ich zabiegi w celu pozyskania tychże dla swej partyi. W trzeciej części wreszcie stawia swój program, z którego dla braku miejsca zacytujemy tylko główniejsze punkta: 1) unarodowienie własności większej; 2) nacyonalizacya kredytu w tym celu, by grunt zrujnowanego chłopa nie przechodził w ręce lichwiarza, lecz aby chłop mógł dalej na nim pracować jako dzierżawca; 3) z unarodowionej własności ziemskiej utworzyć parcele tak wielkie, by chłop wynajmując je po opłaceniu rozmaitych wydatków miał zapewnione pewne minimum egzystencyi; 4) parcele te będzie można wynająć tylko tym, którzy swój własny grunt odstąpią państwu pod takiemi warunkami, jak własność większa, t. j. oddadzą go za odpowiedniem wynagrodzeniem w ręce państwa. Doprowadziwszy w ten sposób do unarodowienia ziemi, autor stawia dalsze postulaty w kierunku centralizacyi produkcyi, w kolektywnej jej formie, a mianowicie zaleca nacyonalizacyę handlu rolniczemi produktami przez częściowe reformy jak n. p. przez instytucyą rządowych składów zboża i zakupno tego gatunku zboża, który ma zbyt. Doszedłszy w ten sposób do potęgi na rynku handlowym państwo mogłoby wpływać na jakość produktów, co doprowadziłoby chłopów do używania lepszego nasienia, maszyn rolniczych itd.

To jest główny szemat ekonomicznego programu autora, a koło niego grupują się dopiero postulaty drobniejsze.

Ta ostatnia praca drukuje się już w polskim przekładzie w miesięczniku „Światło“ i wyjdzie niebawem w osobnej odbitce. Chociaż nie każdy zgodzi się na wypowiedziane poglądy autora, rozprawa jego stanowi w każdym razie cenny nabytek w literaturze ekonomicznej.

K. T.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA GALICYJSKA.

Grzechynia pod Makowem, 21 lipca.

(Wybory sejmowe. — Miłośnicy ludu. — Towarzystwo pedagogiczne. — Opera sezonowa i stała. Przyjaźń w krytyce teatralnej).

Kiedy ojca gospodarza mojego, 85-letniego ślepego górala, zapytałem dziś, czy się czuje zdrowym, odpowiedział: „przydałoby się lepi, ale jakosik nie kce być“. Słowa te dadzą się zastosować prawie do wszystkich objawów życia galicyjskiego.

Dadzą się one naprzód odnieść do nadchodzących wyborów sejmowych. Odnalazł się wprawdzie centralny komitet wyborczy, o którego zaginieniu donosiłem, odnalazł się i jego prezes, hr. Wojciech Dzieduszycki, ale działalność jego do tej chwili nie odznacza się płodnością (to jest działalność komitetu, a nie hr. Dzieduszyckiego, bo ten jest płodnym za dziesięciu). Wyrwała go z drzemki odezwa reprezentacyi 30-tu miast galicyjskich, która naprzód zwróciła uwagę na agitacyę między ludem, działającą w interesie jednej tylko warstwy ludności, a następnie oświadczyła, że pragnie iść ręka w rękę z komitetem centralnym, ale pod warunkiem, żeby do udziału w pracach sejmowych dopuszczani byli bez względu na stan ludzie ukwalifikowani, świadomi narodowych celów i chcący postęp rozumny rozwijać sprawiedliwie we wszelkich kierunkach. Z odezwy tej reprezentacyi demokracyi miejskiej dowiedział się jeszcze komitet centralny, że poczyniła ona już kroki do utworzenia własnych komitetów wyborczych, — a to go tak przestraszyło, iż oba jego oddziały, lwowski i krakowski, postanowiły natychmiast porozumieć się z reprezentacyą miast 30-stu. Skutkiem tego porozumienia uznano za potrzebne odroczyć zawiązywanie komitetów wyborczych miejskich, dopóki komitet centralny tego za stosowne nie uzna. Ze wzajemnych wyjaśnień wypadło obustronne uznanie potrzeby solidarnego występowania wszystkich inteligentnych warstw społeczeństwa wobec obawy wprowadzenia do sejmu żywiołów antinarodowych, lub też mogących być zbytecznym, utrudniającym pracę sejmową balastem. Tak więc grożący rozłam pomiędzy komitetami centralnemi a miejskiemi został na razie udaremniony. Ze stanowiska ogólnych interesów kraju i społeczeństwa fakt ten należy przyjąć z zadowoleniem. Tylko nie należy przesadzać, nie drwić sobie z „konfederacyi burmistrzów“ i nie wołać, że komitety przez pojedyncze warstwy powołane do życia, byłyby „nowym podziałem kraju“, bo ten podział został stworzony przez ustawę wyborczą, która osobno każe wybierać szlachcie, osobno miastom, osobno izbom handlowym i wreszcie osobno ludowi wiejskiemu i małomiasteczkowemu i nadaje jeszcze wirylne prawo zasiadania w sejmie przedstawicielom duchowieństwa i uniwersytetu. Konfederacya więc burmistrzów, jak i inne wszelkie „konfederacye“, byłaby tylko logicznem następstwem ustawy, a że ta logika mogłaby ujemne wydać owoce, to rzecz całkiem inna.

Ugoda komitetów centralnych z reprezentacyą miast jest także pewną „konfederacyą“, a mianowicie konfederacyą inteligencyi, która obawia się skutków konfederacyi chłopsko-socyalistycznej. Od paru miesięcy w rozmaitych miejscowościach odbywają się nieustannie wiece ludowe pod hasłem: Precz z duchowieństwem, szlachtą i inteligencyą! Wszystkie przemówienia na nich są nastrojone na jedną nutę; agitatorzy (prawie zawsze jedni i ci sami) grają główną rolę, oni prawią o upośledzeniu ludu, oni stawiają wszelkie wnioski, a lud jest zazwyczaj tylko niemym słuchaczem. Władze krajowe, a raczej państwowe, — t. j. starostwa — gdzie tylko mogą stawiają przeszkody w odbywaniu się takich zgromadzeń. Nie ulega wątpliwości, że działalność starostów w tym kierunku sprzeciwia się zasadom konstytucyjnym, a powody zakazów są błahe, nakręcone, śmiesznie umotywowane. Są one bezsprzecznie pogwałceniem praw, tak jak agitacya między ludem żywiołów skrajnych jest pewnem tych praw wyzyskiwaniem. Ostatnie posiedzenie Koła polskiego w Wiedniu poświęcone było specyalnie obradom nad tą sprawą. Wszyscy mówcy wprawdzie przyznawali, że wolność zgromadzeń jest gwałconą, ale zgadzali się, że ruch ludowy, o którym mowa, jest szkodliwym, gdyż rozdmuchuje nienawiść klasową. Zgadzając się poniekąd z tym poglądem, nie mogę się jednak powstrzymać od uwagi, że ci, co ten sztuczny ruch potępiają, sami go wywołali niezaradnością swą, niedołęstwem, a najwięcej *brakiem dobrej woli*. Ksiądz Chotkowski, przemawiając w Kole polskiem, wspomniał, że kiedy zwoływał lud na sprawozdania poselskie, niektórzy marszałkowie powiatowi byli z tego mocno niezadowoleni. „Niedawne to czasy (są słowa tegoż księdza Chotkowskiego), kiedy duchowny, zabierający się do pracy około stowarzyszeń rzemieślniczych, uchodził za niebezpiecznego socyalistę“. Pan Lewicki żałował, że na zgromadzeniach ludowych słychać tylko głosy agitatorów — radby, aby te zgromadzenia odbywały się jak najczęściej, lecz aby na nich byli obecni ci, którzy razem z ludem pracują na zagonie, a dla niego w szkole i w kościele. Narzekał poseł Popowski, że inteligencya rzadko styka się z ludem. Poseł Piniński dowodził potrzeby informowania się o życzeniach włościan i należytego ich oświecania. Nie obawiał się ruchu chłopskiego ks. Kopyciński, ale domagał się, jak i poprzedni mówcy, aby inteligencya i duchowni brali udział w wiecaah i sami je zwoływali. I reszta mówców twierdziła toż samo. Ba, ale ci panowie umieją zawsze gadać i dobrych rad udzielać, ale kiedy przyjdzie do roboty, to ich nie ma. Kilku ludzi ruchliwych potrafiło zwołać w krótkim czasie kilkadziesiąt wieców ludowych, jeden ks. Stojałowski doprowadził ich parę set do skutku, a tymczasem całe duchowieństwo, cała „wysoka“ i mniej wysoka szlachta, cała inteligencya krajowa: konserwatywna i postępowa nie zdobyły się na zwołanie choćby kilku wieców. Czasem tylko który z posłów zwoła na lat parę raz jeden swoich wyborców, trochę zakadzi im a jeszcze więcej sobie oraz rozmaitym dostojnikom — i na tem kończy się cała styczność z ludem warstw wyższych i oświeconych. Ale na lamenty, narzekania stać zawsze tych „prawdziwych“ przyjaciół ludu. Czyż więc dziwić się można, że ta bezradność, ta gnuśność i niedołęztwo wydają dla nich gorzkie owoce? „Oj, przydałoby się lepiej, ale nie chce być“.

Albo teraźniejszy zjazd pedagogiczny w Wadowicach? Niedawne to czasy, kiedy nauczyciele wiejscy tłumnie dążyli na takie doroczne zjazdy i radzili o sprawach ważnych dla siebie i dla oświaty narodu. Ale moda przeminęła — na tegoroczny zjazd przybyła zaledwie mała garstka, a obrady jej były tego rodzaju, że doprawdy dziwić się należy, po co ci ludzie, często z dalekich stron, zjechali się. Czy dla tego, aby złożyć hołd i podziękowanie hr. Dzieduszyckiemu za to, iż ogłosił konkurs na monografie powiatów galicyjskich.

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki, położył bez zaprzeczenia sporo zasług, cieszy się ogólnem uznaniem, dobrze zrobił, że konkurs ogłosił, ależ te kilkaset reńskich, które na niego przeznaczył, nie są znowu czynem tak wielkim, aby zjeżdżało się nauczycielstwo z całego kraju dla składania mu „hołdu i podziękowania“. Nie potrzebowało też zjeżdżać nauczycielstwo dla dowiedzenia się, iż krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń przyznało nauczycielom pewne ulgi przy ubezpieczeniach na życie, bo mogło się o tem dowiedzieć z okólnika, lub z pism krajowych, bo nie było poco aż za pomocą osobnej uchwały zjazdu stwierdzać, że umowa ta jest „korzystną“, a raczej należałoby się zastanowić, zkąd biedni nauczyciele, niemający częstokroć na kawałek chleba, uposażeni gorzej niż woźni rozmaitych instytucyi, wezmą pieniędzy na ubezpieczanie się? Jedynym referatem, który mógł zająć przybyłych, był referat o przyszłych szkołach wydziałowych, ale nasuwa się uwaga, iż dopiero wydrukowanie jego w piśmie Towarzystwa zaznajomi ogół nauczycielstwa z tą sprawą. Poza tem cały zjazd pedagogiczny zeszedł na różnych czołobitnościach i wzajemnych podziękowaniach. Dziękowano ks. Jerzemu Czartoryskiemu, że jest prezesem Towarzystwa, dziękowano staroście Francowi, że raczył przybyć na posiedzenie, dziękowano posłom Czartoryskiemu, Rutowskiemu i Kramarczykowi za obronę praw stanu nauczycielskiego, dziękowano członkom zjazdu, że złożyli 116 złr. na gimnazyum polskie w Cieszynie. Wśród tych podziękowań nie miano czasu na dyskusyę nad sprawozdaniem zarządu Towarzystwa. Uchwalono wreszcie prosić sejm o polepszenie bytu nauczycieli ludowych i uznano wniesienie znanej w tej sprawie petycyi do rady państwa za rzecz nierozważną i szkodliwą. Oto i wszystko. „Przydałoby się więcej, ale jakoś nie chce być“.

Słów tych nie mogą zastosować do siebie, a właściwie do swej kieszeni, przedsiębiorcy sezonowej opery w Krakowie — idzie im bowiem jak po maśle. Każde przedstawienie odbywa się wobec natłoczonej sali teatralnej. Powodzenie to zachęciło przedsiębiorcę teatralnego p. Pawlikowskiego do porozumienia się z dyrekcya teatru lwowskiego, co do utrzymywania wspólnej opery, któraby przez jesień cieszyła uszy Krakowian, a przez zimę radowała lwowskie organa słuchu. Cała trudność polega tylko na złożeniu odpowiedniego personalu. Przedsiębiorcy opery sezonowej byli w tem szczęśliwem położeniu, że skorzystali z bezrobocia wybitnych śpiewaków i śpiewaczek, którzy podczas lata nie byli nigdzie zaangażowani. Opera stała wymaga stałych sił, a chcąc postarać się o wybitne, potrzeba dobrze, a nawet bardzo dobrze zapłacić. Jest przytem obawa, iż dobra a więc kosztowna opera mogłaby wyrządzić krzywdę dramatowi. Ale nad tem nikt się nie zastanawia, bo czego chce dyrekcya, to jest święte dla jej przyjaciół w dziennikarstwie. Wszystko, co robi, znajduje pochwałę i reklamę.

Najlepszym tego objawem były trzy jednocześnie napisane i wydrukowane olbrzymie artykuły w „*Przeglądzie Polskim*“, w „*Czasie*“ i „*Gazecie lwowskiej*“, podnoszące genialność krakowskiej dyrekcyi. Zapewne, że nie ma rzeczy na świecie, któraby się komuś nie podobała — i najbrzydsza panna znajdzie swego rozgonnego wielbiciela. Są rozmaite gusta, a z niemi się łączą rozmaite przyjaźnie, wpływają na nie rozmaite interesa. Dla kogoś np. co przerobił „Lizystratę“, najznakomitszym dyrektorem musi być ten, kto taką pornografię zdecyduje się wystawić na scenie, a więc nikt się też dziwić nie może, iż w „*Gazecie lwowskiej*“ popuszcza ten ktoś cugle uczuciom swojej wdzięczności. Ale w artykułach, o których mowa, nietylko sadzono się na pochwały dla niedołęztwa, ale z kłamanem oburzeniem rzucono się na „potwarców“ i „plotkarzy“. Potwarcami tymi i plotkarzami mieli być korespondenci do pism zamiejscowych, donoszący o przebiegu dyskusyi teatralnej w radzie miejskiej. Pisali oni mianowicie: że na radzie ostro krytykowano działalność przedsiębiorcy i jego stosunek do gminy, że nawet padł głos, iż należałoby kontrakt z przedsiębiorcą rozwiązać. Wszystko to kłamstwo, potwarze, plotki, wołali autorowie trzech artykułów — a tymczasem była to najprawdziwsza prawda. Do takich więc sztuczek uciekają się przyjaciele dyrekcyi i „Lysistraty“. Przydałoby się uczciwiej, ale jakoś nie chce być.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLINSKA.

Dnia 16-go lipca.

(Sprawy wewnętrzne stronnictw politycznych: Hammerstein i „Kreuzztg“. — Rösicke i narodowo-liberalni. — Program agrarny demokracyi społecznej.)

Armia to przecież przedmiot specyalnych zabiegów cesarza. W życiu politycznem i społecznem zapanowuje stopniowo cisza, każdy spragniony letniego spoczynku zbiera siły do zimowej pracy. W takiej chwili zwolnienia tętna życiowego na zewnątrz zanotować jednak trzeba fakty, które ciekawe rzucają światło na życie partyjne najważniejszych dziś stronnictw politycznych. W każdem stronnictwie są one odmiennej natury, a jedyny punkt porównania stanowi, iż zdarzyły się jednocześnie.

Przedewszystkiem więc sprawa Hammersteina. Niemcy nie miały dotąd swojej Panamy, ani Panamina, ale mają w tej chwili jej przedsmak. Baron Hammerstein, zbankrutowany właściciel ziemski, od 1881 r. faktyczny redaktor „Kreuzztg.“, który dyskrecyonalną posiadał władzę rozporządzania jej funduszami, oskarżony został przez opinią publiczną o grube przeniewierstwo na sumę 125 tysięcy marek. Faktem jest również, że Hammerstein dopuszczał się systematycznych nadużyć jak np. to, że liczył za dostawę papieru znacznie więcej, niż płacił. Osobistości wybitniejsze, jak deputowany Kropatschek, usunąć się już dawniej wolały z redakcyi, aby nie stykać się z człowiekiem, który nie miał czystych rąk. Byłaby to wewnętrzna sprawa redakcyi, która się wszędzie zdarzyć może i która odbija się tylko na kieszeni akcyonaryuszów, gdyby to nie był Hammerstein. Dość jednak spojrzeć na twarz tego człowieka, aby zrozumieć, że to nie zwykły szwindler, ale potężna osobistość, której przedewszystkiem chodzi o władzę. Hammerstein był głową i przewodnikiem umysłowym i faktycznym konserwatywnego stronnictwa. Przez lat dziesięć toczył wojnę z Bismarckiem, wrogiem zaciętym gazety, który doprowadził do tego „Kreuzztg.“, że nie miała wstępu na dwór. „Kreuzztg.“, dokoła której grupowało się stronnictwo konserwatywne, stała zawsze po stronie reakcyi ekonomicznej, reprezentowała politykę kościoła, walczyła pod hasłami religii, porządku i tradycyi. Ścisłe stosunki partyi z jej redaktorem, który dziś posiada wszelkie jej tajemnice, wprowadziły ją na drogę antysemityzmu, ortodoksyi kościelnej i stawiania w pierwszym rzędzie interesów agrarnych. Dziś więc upadek Hammersteina jest moralnym policzkiem dla stronnictwa i jego moralnych haseł. Zawieść się na człowieku można, ale parę lat dziesiątków ulegać osobistości, która ostatecznie dopuszcza się ordynarnych nadużyć pieniężnych, to już nie omyłka, ale zaślepienie, do którego przyznać się ciężko. Nic też dziwnego, że hr. Finkenstein występujący w imieniu właścicieli gazety, starał się nie dopuścić do rozgłosu i rozprawy sądowej. Hammerstein zaś wyjeżdżał jakoby na kilkomiesięczny letni urlop, z którego nb. nie powrócił i nie złożył dotąd mandatów swoich do sejmu ani parlamentu. Czy jednak ominąć będzie można skandal sądowy nie wiadomo. Bo oto korespondent „Frankfurter Journal“' który najwcześniej zwrócił uwagę na nadużycia Hammersteina, nazwany został przez niego oszczercą, teraz zaś wnosi do sądu skargę o obrazę i potwarz. Sprawa przeto dużo jeszcze ciekawego materyału rzucić może na pastwę publicznej ciekawości.

A oto stronnictwo narodowo-liberalne. Ma ono z czasów ostatnich tyle grzechów przeciwko kardynalnym zasadom swojego programu, że również radeby pokryć te zasadnicze kwestye milczeniem. Tymczasem deputowany z okręgu Dessau-Zerbst, dr. Rösicke, wybrany w 1893 r. przez stronnictwo narodowo-liberalne i poparty przez wolnomyślnych, składa mandat, oświadczając, że nie chce zawieść zaufania wyborców, a ze stronnictwem solidaryzować się już nie może. Ten bierny, a tak wymowny protest nie przypada do gustu narodowo-liberalnym, którzy starają się obrócić w śmieszność zbytnią drażliwość posła i wykazać, że jest ona tylko manewrem dla pozyskania większego zaufania wyborców. Nieuprzedzony obserwator przyznać przecież musi, że dr. R. postępował od początku jak człowiek zasad i honoru. Nie przyłączył się on bowiem do żadnego ze stronnictw parlamentarnych, a znajdując, że program narodowo-liberalnego stronnictwa stał się właściwie pustym dźwiękiem cofa się od publicznego życia. W piśmie, jakie dla usprawiedliwienia dr. Rösicke wystosował do wyborców, spotykamy nader ciekawą wiązankę faktów, które ilustrują jak odmiennemi drogami chodzą zasady i taktyka narodowo-liberalnych.

Stronnictwo to, które na chorągwi swej wypisuje liberalne hasła swobody gospodarczej i równoprawności, głosowało za ustawami podatkowemi, które starały się pewne gałęzie przemysłu opodatkować wyżej, a inne za to od podatków uwolnić, a więc za podatkiem tytuniowym, wódczanym i cukrowym. To jednak usprawiedliwionem być może chwilową konjunkturą gospodarczą, zasadniczego sprzeniewierzenia się zasadom dopatrzeć w tem trudno. Ale narodowo-liberalni przedstawiciele warstwy, której przed innemi dogadzać się zdają panujące dziś w Niemczech stosunki monetarne, głosowali za wnioskiem zwrócenia się do zjednoczonych rządów w sprawie zwołania międzynarodowej konferencyi dwukruszcowców, co już jest grzechem głównym z punktu widzenia programu. Co gorsza zaś, nie wystąpili przeciwko wnioskowi Kanitza, który przecież wyraźnie skierowany jest przeciw liberalizmowi gospodarczemu. Pod jednym względem tylko narodowo-liberalni pozostali wierni politycznej swej tradycyi, ale w tem właśnie dr. Rösicke stanowczo się od nich różni: oto pragną oni zawsze nieograniczonej swobody dla kapitału, są więc przeciwni każdemu wnioskowi, który dąży do ochrony pracy. Tymczasem Rösicke pragnąłby swobody rozwoju, zarówno dla kapitału, jak i dla pracy, a więc nieograniczonego prawa stowarzyszania się dla robotników. Nie pochwala więc dążeń do stworzenia ustaw wyjątkowych, wiadomo zaś, że narodowo-liberalni byli duchowemi twórcami ustawy przewrotowej, odrzucili ją zaś dla tego, że w komisyi otrzymała cechy klerykalno-konserwatywne.

Oczywiście niemiły rachunek dla sumienia, które o program i zasady troneryi się przestało, i gdyby nawet ustąpienie dr. R. było tylko zręcznym manewrem, przyklasnąć mu należy gorąco.

Na zakończenie pomówmy o bardzo ważnym fakcie, który zaszedł wśród demokratów społecznych. Oto dziś ukazał się projekt zmiany programu stronnictwa, który poddany zostanie pod obrady najbliższego wiecu. Historyą programu odnieść należy do ostatniego wiecu demokratów społecznych niemieckich we Frankfurcie. Tu deputowany Vollmar podniósł kwestyą działania wśród ludu wiejskiego. Dotychczasowy program socyalistyczny głosił upaństwowienie ziemi jako cel ostateczny i prowadzenie gospodarki zbiorowemi siłami, w wielkich gospodarstwach, gdzie zaprowadzić by się dały melioracye, wyższa technika i racyonalny podział pracy. Program ten nie uwzględniający bieżących interesów drobnych właścicieli ziemskich nie przeciwdziałał wytwarzaniu się proletaryatu i po za ogólnemi hasłami solidar-

ności i głosowania powszechnego nie stwarzał dążeń, któreby ludowi wiejskiemu w demokracyi społecznej widzieć kazały przedstawiciela swych żądań.

Projekt dzisiajszy wypracowany został przez komisyą, która nowe punkta włączyła do dotychczasowego programu minimalnego politycznej roboty partyi. Stronnictwo przeto uniknęło rozłamu przewidywanego wśród przeciwników, którzy mieli nadzieję, że sprawy agrarne, przedstawiające dotychczas największy szkopuł teoretyczny, oddzielą zwolenników Vollmara od wiernych dawnemu programowi Liebknechta i Bebla.

We wstępie projekt zaznacza, że, dążąc do demokratyzacyi wszystkich instytucyi społecznych wśród państwa i gminy, stronnictwo żąda poprawy stosunków w przemyśle i rolnictwie, w handlu i środkach komunikacyi o ile możebnem to jest wśród dzisiajszego ustroju, obejmuje tedy pracujących we wszystkich gałęziach gospodarki.

W interesie ludności rolniczej postawiono następujące żądania: 1) Fachowe szkoły gospodarki wiejskiej, gospodarstwa wzorowe i stacye rolnicze, oraz kursa rolnictwa po wsiach. 2) Wobec dążności do zaprowadzenia wyłącznego podatku od dochodu i majątku, zniesienie wszelkich podatków gruntowych i od nieruchomości. 3) Zniesienie wszelkich przywilejów złączonych z własnością roku. Przysługują one zawsze własności większej, jak przywileje podatkowe, majoraty, prawa patronalne itd. stwarzając gorsze warunki bytu dla własności drobnej. 4) Utrzymanie i powiększenie obszaru własności publicznej, a więc dóbr ziemskich, należących do państwa i gminy i zamianę własności martwej ręki na dobra publiczne. W tem żądaniu widzimy poniekąd pierwszy krok ku upaństwowieniu ziemi, ale gospodarka na tych obszarach ma być pomocą dla drobnych rolników, gdyż projekt żąda, aby 5) ziemie publiczne oddawane były w dzierżawę związkom robotników lub drobnych właścicieli rolnych lub pojedyńczym rolnikom, którzyby zarządzali niemi pod nadzorem państwa lub gminy.

Programu dopełnia żądanie kredytu rolnego, rozszerzenie prawodawstwa robotniczego na robotników rolnych oraz upaństwowienie długów hipotecznych i obniżenie procentu od nich. Projekt ulegnie niezawodnie znacznym zmianom, zwłaszcza przytoczone przez nas na ostatku upaństwowienie długów hipotecznych musi być ściślej określonem, bo posłużyć by przedewszystkiem mogło interesom właścicieli większej posiadłości, której demokracya społeczna nie pragnie chyba zrobić podarku.

Jakkolwiek przecież wyglądać będzie opieka nad ludnością rolną, dowodzi ona jak daleko po za sobą pozostawiła demokracya społeczna stanowisko utopijne, przeobrażając się w przedstawicielkę aktualnych spraw niższych warstw społecznych.

S. Z. D.

Ze Szląska Polskiego.

(Niepoprawny. — Nieco więcej polskości. — Posądzenie „Katolika". — Przyszła historya narodu polskiego. — Potrzeba uwzględnienia Szląska. — Prośba o polską historyę dla Szląska).

Częste potrącanie o sprawy „Katolika" bytomskiego, i to w sposób niezawsze chlubę przynoszący najstarszemu temu pismu polskiemu na Szląsku, nasuwa obawę, że czytelnicy posądzą mnie o osobisty antagonizm. Jeżeli, mimo niebezpieczeństwa z tej strony grożącego nie mogę się ustrzedz krytyki wobec „Katolika", to niechaj to będzie dowodem, że jestem w równej jak on mierze niepoprawny.

Pod datą 13 lipca 1895 r. donosi „Katolik" w dłuższym artykule o założeniu, zadaniu i urządzeniu banku ludowego w Bytomiu, a kończy tak:

„Z polityką bank ludowy nie ma oczywiście styczności i dla tego bylibyśmy woleli, gdyby w „Gaz. Opol." z uciechy nad założeniem banku nie byli potrząsali pięścią przeciwko związkowi antypolskiemu. Pisali zgoła, że bank ludowy to odpowiedź na założenie związku antypolskiego. Tak nie jest, bank został założony właściwie 17 marca b. r, zatem zupełnie niezależnie od tej sprawy, nie wdaje się w politykę, nie chce brać za bary z antypolskim związkiem, tylko pragnie na mocy prawa uczciwie działać dla dobra swoich. Trzeba nam unikać przesady: w polityce ona niedobra, a w sprawach pieniężnych zgubna".

To ma być niby odprawą dla „Gazety Opolskiej", która za „Przeglądem Poznańskim" donosiła o założeniu banku w Bytomiu już w czerwcu, podczas gdy w „Katoliku" dopiero 13 lipca sprawa ta do druku dojrzała, mimo, że naczelny redaktor „Katolika", p. Napieralski, jest przewodniczącym rady nadzorczej banku. Najciekawszem wszakże zdaje się być sumitowanie się „Katolika", że wolałby on był, gdyby „*Gaz. Opol.*" z uciechy nad założeniem banku nie była tak potrząsała pięścią przeciwko Hakatystom, ponieważ bank nie chce się brać za bary z antypolskim związkiem. Na cóż to obwijanie w bawełnę? Czytelnicy „Katolika" byliby zaiste więcej zrozumieli z całej tej polemiki, gdyby ich organ im był doniósł krótko, że po rozważnem zastanowieniu się kolegium redakcyjnego, trwającem od 13-go marca do 13 lipca, t. j. równe 4 miesiące, rzeczone kolegium redakcyjne pospołu z zarządem i radą nadzorczą banku doszło do przekonania, iż bank z polityką nie ma styczności, a pragnąc i z Hakatystów jak najwięcej ciągnąć zysków przez udzielanie im pożyczek, zaleca ze względów koleżeństwa lojalność wobec tejże spółki. W postskrypcie zalecałaby się wzmianka, że i nawet „po polsku mówiący Szlązacy-katolicy" mogą być członkami banku, co i podług ustaw H. K. T. jest dozwolone, a przez miłościwie nam panujących Niemców — owszem mile widziane.

Zdaniem więc „Katolika" jest bank bytomski sprawą czysto prywatną kilku panów założycieli, a cały Szląsk i Polska, a z nią i „Gaz. Opol." są spółkami całkiem odrębnemi, którym nie wolno do swoich jakichś tam politycznych celów używać nazwy banku ludowego?

Więc zdaniem „Katolika" bytomski bank nie jest odpowiedzią Polskiego Szląska na założenie związku H. K. T. na Szląsku, mimo, że pionierzy H. K. T. w Kluczborku n. p. odmawiają tamtejszemu Towarzystwu polsko-katolickiemu przyjęcia depozytu do miejskiej kasy oszczędności, radząc z obelżywą ironią depozyt ten raczej zanieść „do Polski"?

Zdaniem „Katolika" więc przestały członków ludowego banku w Bytomiu obligować krzywdy polskości wyrządzane? Ogół inaczej sądzi. Bank bytomski zrozumie, że będąc polskim, ma i obowiązek występowania tam, gdzie potrzeba, wszędzie po naszemu, a i „Katolik" może pojmie z czasem, że polskiemu pismu potrzeba do zbawienia obok wielu innych cnót chrześciańskich odwagi cywilnej i nieco więcej polskości.

Niewyraźne postępowanie „Katolika" z konieczności budzi wśród ludzi ubliżające podejrzenia, których tu bliżej charakteryzować nie chcę, bo uważam je za nieuzasadnione.

Z wielkiem zainteresowaniem się wyglądamy tu zapowiedzianych „dziejów Polski ilustrowanych" prof. dr. Sokołowskiego. Pomijanie Szląska Polskiego we wszystkich podręcznikach i historyach narodu polskiego jest oburzającem. Spodziewać się należy, że prof. dr. Sokołowski, ofiarując narodowi owoc swej pracy, braku tego uzupełnić nie zaniecha. Wszystkie dotychczasowe historye Polski, począwszy od Szujskiego, Morawskiego i Bobrzyńskiego aż do Chociszewskiego podręcznika historyi Polski są raczej historyami państwa lub Królestwa Polskiego, lecz żadne z tych dzieł nie zasługuje na nazwę historyi narodu Polskiego, na którą nas dotychczas nie stało.

Jest to zresztą nader zrozumiałą właściwością człowieka, że interesuje się w pierwszej linii swemi własnemi sprawami. A jakże żądać od Szlązaka większej znajomości historyi Polski, jeżeli on o własnych dziejach zaledwie wzmiankę tam znajdzie. Niemcy nas pod tym względem sumiennie wyręczają, koszlawiąc dzieje na swój sposób i wmawiając w każde dziecko szląskie, że Szląsk to kraj odwiecznie niemiecki. Inteligentniejszy Szlązak, czujący gorąco niesprawiedliwość i krzywdę nam przez Niemców pod tym względem wyrządzaną, jest bezbronny wobec wroga, ponieważ nie jest w stanie z polskich podręczników historycznych czegoś lepszego się dowiedzieć.

Granice kraju z czasów Chrobrego znikają porówno z odwróceniem odnośnej stronnicy naszych podręczników z przed oczu czytelnika i cofają się raz na zawsze do Warty i Prosny. Umysł mniej zaopatrzony w wiadomości historyczne, zkądinąd zaczerpnięte, gubi się w domysłach i kończy często swe studya nad historyą rodzimą niepocieszającym wcale dla swego i naszego poczucia narodowego domysłem, że Niemcy zjedli Pomorzan, Serbo-Łużyczan, Szląsk i że dziś nadszedł czas na przetrawienie Poznańskiego i Prus.

Jak bardzo Szląsk pragnie i potrzebuje polskiej historyi swej dzielnicy, to właśnie znowu w najświeższym czasie dostrzedz było można. „*Gaz. Opol.*" ogłosiła w kilku numerach lekki szkic historyczny p. t. „Co każdy Szlązak z historyi swego kraju wiedzieć powinien". Jakkolwiek ani szczupłe ramy tej pracy, ani krótki przeciąg czasu, w którym wykończoną była, nie pozwalał na więcej rzeczowe opracowanie przedmiotu, niemniej przeto można słyszeć zachwyt i uznanie dla autora i gazety, nawet ze strony najmniej inteligentnych czytelników, po których trudno się było spodziewać, że wogóle ważniejsze artykuły wstępne czytają lub rozumieją. W licznych korespondencyach wyraża lud prosty wdzięczność swoję za wyznanie prawd, które on sam jeden dotychczas nieświadomie w sercu swem chował.

Jak łaski i dobrodziejstwa dopomina się i doprasza Szląsk taniej, dla ludu przeznaczonej, polskiej historyi.

Chim.

Wystawa robót kobiecych
w Poznaniu.

Warszawski „Przegląd Tygodniowy" zamieścił w nr. 28 interesującą, choć nie ze wszystkiem słuszną ocenę oddziału pracy kobiecej na wystawie poznańskiej. W przekonaniu, że krytyczne to sprawozdanie, odmienne od dotychczasowych referatów, a zawierające kilka zdrowych myśli ogólnych, może korzystnie oddziałać na kierunek działalności kobiet wielkopolskich, przytaczamy je w całości. Artykuł warszawskiego czasopisma brzmi:

„O ile cała wystawa jest prozaiczną, mało sobie zadaje pracy dla ukrycia swoich celów czysto utylitarnych, a względy naukowe i estetyczne ustępować muszą z drogi przed businessem, o tyle w dziale kobiet znajdujemy wyłącznie niemal rzeczy piękne, zbytkowne, wymagające rąk delikatnych, rozwiniętego poczucia piękna, znacznej ilości wolnego czasu, wreszcie ambicyi, która chce dobre świadectwo zaskarbić sobie u społeczeństwa.

Dział kobiecy nosi na sobie cechy owej dwoistości, na podstawie której wystawa powstała, rozpada się na niemiecki i polski. Zaczniemy od drugiego.

Dział kobiecy nie jest, niestety, wyrazem rozwiniętego ruchu na polu zarobku lub nauki, w którym odzwierciadlają się dążności kobiet tej dzielnicy i kierunek ich pracy. Dotąd kobiety poznańskie nie mają ogniska, do którego zbiegaćby się mogły ich usiłowania, niema bowiem ani jednego ogólno-kobiecego stowarzyszenia, (?) niema pisma, dokoła którego grupowaćby się mogły usiłowania jednostek. Wychodził wprawdzie dwutygodnik literacki dla kobiet, redagowany przez Teofilę Radońską, ale po dwóch latach musiano go zamknąć, gdyż redagowany był tak marnie, że nie odpowiadał swemu celowi. Są tu wprawdzie instytucye, podobne do warszawskich a utrzymywane przez prywatne siły kobiece, jak np. ogródki froeblowskie lub zakłady nauki przemysłu (np. p. Karłowskiej, gdzie uczą krawieczczyzny i bieliźniarstwa), ale są to przedsiębiorstwa, z któremi szersze dążności nie są dotąd związane.

Szersza działalność kobieca nosi aż dotąd cechy filantropijne, dokonywa się pod chorągwią katolicką i patronatem arystokracyi, a co najgorsze, że jest dotąd bardzo niedostateczną, pomimo opieki niebios i dobrze urodzonych protektorek.

Najważniejszem jest tu Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt, założone przez Bibiannę Moraczewską i hr. Kwilecką. Towarzystwo udziela stypendyów uzdolnionym dziewczętom. liczy dziś przeszło 1000 stypendystek, pobierających wprawdzie niewielkie kwoty, które przecież pomocą im być mogą. Najwyższem stypendyum jest 300 marek.

Drugie podobne stowarzyszenie powstaje obecnie z celem opieki nad pracownicami ręcznemi, wyszukiwania im zarobku i czuwania nad ich moralnością i hygieną. Oprócz tego, stowarzyszenie ma na celu założyć magazyn zbytu dla produktów ludowych.

Co do zakładów czysto filantropijnych, to przeważa wśród nich dążność do umoralniania nad czystem uczuciem miłosierdzia. Dążność to dość ogólna, jakkolwiek dobroczynność doszła już w wielu miejscach do wniosku, że najlepiej umoralnia przykład, a więc czynnikiem, oddziaływającym najskuteczniej, jest bezinteresowna i w szlachetny sposób ofiarowana pomoc.

Niezupełnie tą zasadą dają się kierować panie poznańskie, bo dobrze, że hr. Mycielska zakłada przytulisko św. Anny dla moralnego podniesienia dziewcząt, że powstają Magdalenki dla przyjmowania upadłych kobiet, ale istnieje zakład dla położnic. jedyny filantropijny (św. Elżbiety), w którym przyjmują tylko uczciwe mężatki. A co zrobić ze sobą mają uwiedzione dziewczęta, których przecież na poznańskim bruku niebrak, jak i na każdym innym? O ileż wyżej stanęły już kobiety niemieckie, które założyły w Berlinie liczne stowarzyszenie opieki nad prostytutkami, postawiły ten punkt na kongresie swoim w Monachium i przekonały ogół kobiet niemieckich, że te wydziedziczone w pierwszym rzędzie na opiekę zasługują!

Słów jeszcze parę o dobroczynnej działalności pań polskich w Poznaniu, bo pomimo wstecznego kierunku, jaki zdradzają niektóre instytucye. zapominać nie trzeba, że się tam coś robi.

Otóż Magdalenki, czyli Towarzystwo dobrego pasterza, liczą dopiero pierwszy rok istnienia i dotąd 18 pensyonarek, zajętych szyciem bielizny dla wojska. Dziewczęta otrzymują tu całe utrzymanie i mieszkanie, pomimo to przecież do swobody tęsknią i — jak mi mówiono — uciekają.

Pod opieką sióstr św. Józefa zgromadzono kobiety-kaleki, w liczbie 48, trudnią się one wyrobem koronek, których próbki znajdują się na wystawie.

Przytulisko dla podniesienia moralnego (a chyba i umysłowego?) poziomu dziewcząt liczy 36 dziewcząt, które uczą się prania i prasowania.

Nie wątpię, że panie poznańskie w różnych innych instytucyach filantropijnych udział brać muszą, ale te są najważniejsze — tak mnie przynajmniej informowały uprzejme dyżurne w oddziale kobiecym.

Wystawa, jak to już wyżej wspomniałem, robi przedewszystkiem wrażenie estetyczne: hafty, koronki, gobeliny (z paryzkiej fabryki gobelinów p. Rayskiej), aplikacye na suknie i aksamicie, makaty, ekrany, roboty kościelne, wypalanie na skórze, malowanie na drzewie i porcelanie, składają się na całość piękną, gustowną, bogatą, delikatną. Rzekłbyś, że zmartwychwstały czasy, w których kasztelanki w pałacach swoich, czekając na pięknych rycerzy, liczyć mogły ściegi i pielęgnować rączki, aby dość były delikatne do krosien i haftu. To też wystawa robi wrażenie dziwnie mało nowoczesne, jeżeli to nie będzie niegrzecznie wobec pań, powiem, że zapachniało mi tam myszką. I to nie od ich likierów i wódek, ustawionych w oddzielnej szafce, a jak się wyrażają znawcy, doskonałych, ale od tej estetycznej a tak mało produkcyjnej wytwórczości wielkich pań, albo pracownic, które z ich polecenia, dla nich, lub dla popieranych przez nie kościołów pracują.

O pracowitości Polek pono nigdy nikt nie wątpił, ale podnosiły się niekiedy wątpliwości i chyba dość słuszne, czy jest ona właściwie skierowaną.

Zresztą, nie mam bynajmniej zamiaru ganić, ani potępiać robót pięknych: przedmiot sztuki, czy wykonany pędzlem, czy igłą, będzie zawsze pięknym, ale dział kobiecy jest istotnie wystawą pracy dam. pracownice oddzielnej urządzać nie potrzebowały, ich wyroby w znacznej części znalazły się ot tam, wśród wszystkich innych, jako to: cygara i papierosy, ubrania gotowe, bielizna, produkty cukrownicze i t. d. Owego łącznika zaś, który łączy w społeczeństwach daleko posuniętych damy i pracownice: owych wspólnych celów i dróg, które dopiero wytwarzają kwestyę kobiecą, ani na wystawie, ani — jak się zdaje — w poznańskiem życiu, dotąd ani śladu.

Wystawa kobiet niemieckich, choć głos ogólny przyznaje jej niższość wobec polskiej, robi przecież wrażenie nieco więcej nowożytne. (?) Przeważają tu malatury i to bardzo ładne (?) robótek, dokonywanych igłą czy drutami, prawie niema. Przytem stowarzyszenie „Frauenschutz“, które prowadzi szkołę przemysłową, zajęło oddzielny pokój i wystawiło ubrania i bieliznę swych uczennic; dużo tu nazwisk polskich, a roboty, wszystkie użyteczne, na zbyt, jak się zdaje, przeznaczone.“ *D.*

Wystawa etnograficzna w Pradze.

Od dwóch przeszło miesięcy ze wszystkich zakątków ziem czeskich dążą tysiące ludzi do Pragi, na ten sam plac, gdzie w r. 1891 naród czeski złożył świetne dowody swej pracy stuletniej. Właśnie wówczas, podczas wystawy jubileuszowej, powstał projekt zorganizowania w roku bieżącym wystawy, którąby dała dokładny obraz życia ludu czeskiego. Projekt ten został z entuzyazmem przyjęty przez grono patryotów czeskich, którzy też rozpoczęli agitacyę wszędzie, gdzie tylko był grunt odpowiedni. W ciągu czterech lat prowadzono prace przygotowawcze, zgromadzano dane statystyczne, zbierano okazy, urządzano wystawy prowincyonalne, z których niektóre cieszyły się świetnem powodzeniem i liczyły odwiedzających na dziesiątki tysięcy. Etnografowie czescy mieli przed sobą zadanie bardzo niełatwe, ponieważ wystawa etnograficzna w tak olbrzymich rozmiarach była przedsięwzięciem dotąd wcale nieznanem, które wymagało wielkiej pracy i mnóstwa sił fachowych. Oprócz tego organizatorowie wystawy musieli pokonywać takie trudności, które nic wspólnego nie miały z techniczną stroną przedsięwzięcia. Klasa najbogatsza — szlachta prawie nie brała udziału w sprawie, która miała tak wybitne narodowo-czeskie piętno, ponieważ szlachta „czeska“ przedstawia pod względem narodowym żywioł bardzo daleki od wszystkiego, co czeskie.

Sfery rządowe zachowywały się względem wystawy wprost wrogo, a cała prasa niemiecka Czech z „Bohemją“ praską na czele prowadziła zawziętą agitacyę, tak przeciwko samej wystawie jak przeciwko jej organizatorom z iście teutońską zaciekłością, nie szczędząc ani oszczerstw, ani insynuacyi, ani donosów.

Wszystko to jednakże nie złamało energii inicyatorów wystawy, którzy pracowali niezmordowanie i dopięli tego, że jest ona prawdziwym dowodem niezwykłej energii, przedsiębiorczości i siły kulturalnej narodu czeskiego. Obecnie sami Niemcy w wielkiej liczbie uczęszczają na wystawę, a namiestnik Czech, hr. Thun, pierwotnie jeden z największych wrogów wystawy, jest codziennym jej gościem.

W istocie wystawa jest bardzo interesującą i to nietylko dla fachowców-etnografów, ale i dla szerszego ogółu zwiedzających. Wystawa zajmuje ogromny plac, na którym mieściła się również i wystawa jubileuszowa r. 1891, przyczem niektóre pawilony, z bardziej trwałego materyału wzniesione, których nie zburzono po zamknięciu wystawy jubileuszowej, mieszczą obecnie główną część wystawy etnograficznej. W dawnej hali przemysłowej znajdują się główne zbiory etnograficzne. Widzimy tu, jak ubiera się, pracuje, bawi się i weseli lud wszystkich zakątków Czech, Moraw, Szląska i Słowaczyzny. Bardzo umiejętnie wykonane manekiny przedstawiają nam typowe sceny z życia ludu wiejskiego i miejskiego. Oto grupa dziewcząt, które zgromadziły się przy wspólnej pracy; dalej kilka parobczaków-Morawian dziarsko wycina hołubce; tu grupa przedstawiająca zrękowiny, tam kilku chłopów starszych gwarzy spokojnie przy winie, paląc długie fajki. Pośród ogromnej sali kilkadziesiąt malowniczo wystrojonych manekinów „oprowadza króla“ (gra wiejska). U drzwi stoi nadzwyczaj naturalnie wyglądająca staruszka, która ofiaruje zwiedzającym kromkę chleba, tylko co naciętego....

Niezmiernie bogata kolekcya haftów i wyszywań ludowych, zbiór różnobarwnych pisanek, modele zabudowań i zagród chłopskich, różne sprzęty, naczynia itd. — oto, co zawiera dział etnograficzny wystawy. Dla etnografa to niewyczerpana skarbnica. A wszystko to ma charakter tak rozmaity, jak rozmaitym jest charakter samego ludu czeskiego i słowackiego.

Hanak morawski tak mało jest podobny do Czecha z Liberca jak ten ostatni do Szlązaka czeskiego; Czech z południa ma dość mało wspólnego z Czechem z północy, a jeszcze mniej z Wołochem lub Morawianinem. O Słowakach nie ma co mówić. Przedstawiają oni typ kulturalno-narodowościowy całkiem samodzielny i odrębny od Czechów. Wówczas kiedy w Czechach lub głównych ogniskach przemysłowych Moraw pieśni ludowe, zwyczaje, wierzenia, stroje coraz bardziej są wypierane przez nowe warunki życia, — w rolniczych okręgach Moraw, a jeszcze bardziej w górskich zakątkach Słowaczyzny cały układ życia ludu zachował jeszcze bardzo dużo starodawnego i nawet pierwotnego charakteru. Wszystko to zostało uwypuklone na wystawie.

Najbardziej zajmującem dziełem wystawy jest wieś, wzniesiona na znacznej przestrzeni. Wchodząc do wsi, słyszymy zmieszane dźwięki najróżnorodniejszej muzyki. Oto przed wrotami karczmy siedzi „dudek“, wygrywający na kobzie piskliwo-monotonne dźwięki. Z zagrody wołoskiej dolatują tony oryginalnych pieśni i tańców, wygrywanych przez kapelę wołoską. Gdzieś dalej śpiewa cały chór. Po placu wioskowym snują się tłumy zwiedzających i zaglądają ciekawie do każdej zagrody, do każdej chałupy. Wewnętrzne urządzenie tych ostatnich przedstawia nam dokładną kopię wnętrza chałup chłopskich Czech, Moraw, Szląska i Słowaczyzny węgierskiej. W każdej chałupie mieszka rodzina chłopów, sprowadzona z tej miejscowości, jaką ma dana chałupa reprezentować na wystawie. Wszyscy noszą się tak jak w domu, nie zmieniają nawet rodzaju swych zajęć. Oprócz zagród chłopskich jest na wystawie: „rychta“ (dom zarządu gminnego), i młyn i kuźnia i chata rybacka nad małym stawkiem, i nawet prawdziwy kościółek wiejski, zwracający powszechną uwagę swą oryginalną strukturą.

Wieś na wystawie nie sprawia wrażenia zwykłego okazu wystawowego. Jest to prawdziwa wieś, pełna życia i ruchu. Wieczorem w największej zagrodzie wołoskiej odbywają się tańce z towarzyszeniem kapeli wołoskiej, niezbyt co prawda melodyjnie, ale oryginalnie wygrywającej.

Na przeciwległym końcu wystawy znajduje się t. zw. „dawna Praga“. Jest to jeden z placów praskich, przedstawiony tak, jak wyglądał w końcu w. XVI. Widzimy tu cały szereg kamienic naturalnej wielkości, zbudowanych tak umiejętnie, że tylko zupełnie z blizka można spostrzedz, że te „kamienice“ wzniesiono z desek i pomalowano. Kamienice te są pokryte różnemi freskami, napisami, figurami i godłami, a w każdej z nich znajduje się jakiś zakład dobroczynny, gdzie się można pokrzepić piwem, winem, kiełbaskami i t. d.

W licznych pawilonach, porozrzucanych na obszernym placu, znajduje się mnóstwo materyałów, ilustrujących życie czeskie wogóle. Różne tablice i dyagramaty zawierają ciekawe dane statystyczne. Utwory archeologiczne, kolekcye broni starożytnej, dawnych widoków

Pragi i innych miast czeskich przenoszą nas w przeszłość narodu czeskiego. W dziale literackim (niezmiernie ciekawym) widzimy tablice, które w sposób poglądowy przedstawiają wzrost literatury czeskiej. Ogólną uwagę zwracają też pokoiki i pracownie wybitnych pisarzów czeskich. I szkolnictwo i przemysł czeski — wszystko to znalazło uwzględnienie na wystawie, więc kto chce w krótkim czasie poznać zewnętrzną przynajmniej stronę życia czeskiego, niech jedzie do Pragi, a z pewnością tego nie pożałuje, tem bardziej, że i życie w Pradze jest bardzo tanie.

Leon Wasilewski.

NA WYŁOMIE.

(Bojko.)

Z chaosu tłumnych, na krótkiej przestrzeni czasu i miejsca nagromadzonych wrażeń, pamięć ludzka przechowuje zwykle tylko jakiś ogólny kamerton i zasadniczą barwę obrazów. A oprócz tego pozostaje tam często jakiś jeden niezatarty szczegół, oderwany z całości i przeniesiony z całą świeżością i siłą na mózgowe klisze. Myśl zawsze do niego powraca; — gdy ktoś poruszy wspomnienia, on pierwszy zjawia się i mówi: „Jestem!“

Przypominam sobie z przed laty wielką uroczystość narodową, z szeregiem mów, tłumem owacyi i tysiącami blasków teatralnych. Wszystko to już zapłynęło w pamięci — zostało tylko głuche wspomnienie szumu i wielkich uniesień, a ponad tem przygasłem uczuciem jakaś czarno ubrana, blada kobieta z dzieckiem na ręku, która przy dźwiękach hymnu „Boże coś Polskę“ zbliżyła się do mnie i szepnęła z ogromną pokorą i ogromną wiarą: „On wziął, on wróci“. Tego głosu i tych ócz głębokich a smutnych nie zapomnę nigdy.

A dziś, gdy rozpamiętuję świeże dzieje pobytu galicyjskich gości na poznańskim bruku, zdaje mi się, że takim silnym, niezatartym momentem, takiem wspomnieniem, którego wicher czasu nie zmiecie, pozostanie dla wielu z nas Bojko, chłop galicyjski. Stał tam wśród setek inteligencyi na uczcie poniedziałkowej w swej malowniczej guni góralskiej, a potem na wieczornicy sokolskiej przed zbitym, różnobarwnym tłumem i zdawał nam się zwiastunem nowej epoki, nowego życia i wielkich przeobrażeń społecznych. Głos jego niewielki, bez dźwięków metalu i monotonny nieco, ale jest w nim taka siła granitowego przekonania, że przed nią korzy się słuchacz. Styl jego prosty, bez efektownych barwników i srebrnych dzwoneczków, ale błyszczy tam owa obrazowość ludowa, czerpiąca porównania i analogie swoje z wielkiej skarbnicy przyrody i szarego życia. Opromienia go zdrowie i spokój wsi polskiej, — w mowach nie dźwięczy nuta wzruszeń nerwowych, nie lśni błyskotliwość retorów miejskich, — myśl rozwija się prawidłowo, bez konwulsyjnych ruchów i skoków, a nieraz w formie obrazów prostych i świeżych z taką plastyką staje przed słuchaczem, że dźwięki i pojęcia w rzeźbę się zmieniają. Jest to w swoim rodzaju artysta wiejski, a dla psychologa dziwnem jest mianowicie, że Bojko posiada wysokie gimnazyalne wykształcenie, które w synach chłopskich zaciera zwykle pierwotną oryginalność i świeżość ludową. Tu przechowała się ona nietknięta, a wpływy szkolnego życia znać chyba w pewnej dystynkcyi i okrągłości ruchów, rzadko tylko spotykanych u ludu. Styl ducha pozostał chłopskim, choć myśl pogłębiona i szersza.

Chciałbym powiedzieć, że Bojko jest typem galicyjskiego włościanina i z słowem tem skojarzyć drugie: Szczęśliwa Galicya! — ale chłop ten to jeden z najlepszych, to wzór wyjątkowy, przewyższający o całą głowę warstwę, z której wyrósł i której pozostał wiernym. Wyposażony niezwykłą bystrością umysłu i wykąpany w krynicach wiedzy, mógł on naukę i talent spieniężyć korzystniej, mógł wstąpić na wyższe szczeble społeczne i sięgnąć po błyszczące zaszczyty, a przecież chłop ten nie opuścił posterunku swego, nie porzucił sukmany chłopskiej, ni chaty, ni pługa, i on, dziecko ludu, jest dzisiaj ojcem, nauczycielem i apostołem wśród braci. Trzeźwy przedstawiciel rozumnej emancypacyi chłopskiej, nietylko miłuje, ale zna jak nikt inny charakter i potrzeby ludu swojego. Daleki od wszelkiego doktrynerstwa i jednostronnego radykalizmu spogląda na posłannictwo „wydziedziczonych“ okiem patryoty sprawiedliwego i obejmującego szersze widnokręgi społeczne. Chłopomania chłopu temu jest obcą, a gdy dźwięki jej ozwały się na wieczornicy sokolskiej w Poznaniu, Bojko sam sprowadził je do właściwej miary, wołając głośno, że „na czele narodu chłopi kroczyć nie myślą, lecz nie pójdą także pod szlachtą, jeno obok szlachty“. I nie jest ta myśl demokratyczna u Bojki frazesem wykradzionym z książek i dzienników, a wysyłanym tak często przez deklamatorów-ludowców jako błyszczący „nom de guerre“ na arenę polityczną — myśl ta u niego jest zwartym, w praktyczne formy ujętym, do warunków przystosowanym i taktycznie wyostrzonym programem. Bojko zna dokładnie historyę Polski, zna dążenia Staszyca i ewolucyę czeską, a w demokratyzacyi społeczeństwa nie upatruje interesu warstwy, lecz interes narodu. Słuchając słów jego, elektryzujących swą głęboką wiarą w posłannictwo ludu, trudno się oprzeć wrażeniu, że stoi przed nami zwiastun nowego życia i nowej ojczyzny, opartej na szerokiej podstawie demokratycznej, — większej, bo zbudowanej na milionach nowych obywateli i ułatwiającej porozumienie z chłopskim narodem Rusinów i innych szczepów słowiańskich.

Tej idei poświęcił Bojko całe życie swoje. Jest to jeden z najdzielniejszych szermierzy demokratycznych, jeden z najruchliwszych i najzręczniejszych współpracowników lwowskiego „Przyjaciela ludu“. Wyklęty kilkakrotnie przez królików galicyjskich, potępiony przez księży, ścigany przez starostów, nie uląkł się dzielny apostoł żelaznej falangi przeciwników swoich i stoi nieugięty, żadną nie złamany klątwą, żadną nie zgłuszony amboną. Opowiadano mi interesujący epizod z występów śmiałego działacza i publicysty na poznańskim gruncie. Ktoś z naszych gasicieli ruchu ludowego ostrzegał w obecności Bojki przed wyklętemi pismkami.

— Czytajcie — zwiastował głosem apostolskim — poznańskiego „Przyjaciela ludu“, bo ten wasz „Przyjaciel“ we Lwowie, to burzyciel i anarchista.

Bojko się uśmiechnął, rozumne oko jego zajaśniało dumą i ogniem, a po chwili tak mówił:

— Skoro ja Panu powiem, kim jestem to może mi Pan ręki nie poda, ale ja tam się tego nie wstydzę. Jestem Bojko, jeden z stałych współpracowników „Przyjaciela ludu“ — tego wyklętego we Lwowie! To moje pismo i mój program, którego się nie wypieram i którego przed całym światem bronić będę.

Tak mówił ten prosty włościanin, bez afektacyi, bez teatralnego patosu, lecz z tą siłą płynącą z głębokiej wiary w świętość przekonań swoich. Jakże bladym i marnym wobec tej uczciwej odwagi chłopskiej jest tłum rzekomych postępowców naszych, który w zaciszu własnego domu, w ciasnem kółku familijnem przyznaje się do liberalnych i demokratycznych programów, a publicznie, przybrany w maskę konserwatywną, zapiera się przekonań swoich dla wysokich protekcyi, dygnitarskich obiadów i zysków materyalnych!

Cóż na to „Kuryer Poznański?“

Nie dziwcie się, — znalazł on pałkę dla Bojki. Wyszydził mowy jego, napiętnował szermierza ludu i zakończył rozpaczliwym okrzykiem:

„Takich to przedstawicieli wzajemnej miłości przysłała nam Galicya!“

I oto stał się fakt dziwny. Pogardliwem mianem „żydowskiego organu“ tylokrotnie zaszczycona „Posener Zeitung“ stanęła w obronie gościa poznańskiego i pod adresem „Kuryera“ wystósowała nauczkę o takcie.

Kapłani polscy! Jakiż to organ mianuje się reprezentantem waszym!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Album współczesnych poetów polskich. Ruchliwa „Księgarnia Polska“ we Lwowie, która dała nam w ostatnich czasach takie wspaniałe wydawnictwa, jak Mickiewicza, Słowackiego i Szekspira, przygotowuje na jesień album współczesnych poetów polskich. Wydawnictwo to, którego redakcyą zajął się Jan Kasprowicz, obejmie ostatni okres poezyi polskiej. (Od roku 1863 do 1895.)

*

Quo vadis? — najnowszą powieść Sienkiewicza, osnutą na tle czasów Nerona — drukuje obecnie w tłomaczeniu niemieckiem wiedeński „Fremdenblatt“.

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne** Utrzymuje się uporczywie pogłoska, że ks. Ferdynand zamierza ustąpić z tronu bułgarskiego. — Hiszpanom na Kubie powodzi się niepomyślnie. Marszałka Camposa osaczyli z trzech stron powstańcy. Niebawem przyjść musi do walnej bitwy. — Wybory w okręgu międzyrzecko-babimojskim skończyły się zwycięstwem Niemca-konserwatysty. Rezultat głosowania wykazuje jednak znaczny przyrost głosów polskich. — Górnicze miasto Brix, po czesku Gniewin, nawiedziła straszna katastrofa. W skutek przerwania się w kilku miejscach t. zw. kurzawki (piasek pływający) zapadło się kilkadziesiąt domów. Potworzyły się olbrzymie czeluście, wybuchły pożary, wielu ludzi zginęło, wielu straciło cały dobytek. — Drezno zamierza wystawić pomnik Bismarckowi, Monaster zmarłemu br. Schorlemerowi z Alst.

*** Teatr i muzyka.** Tenor bohaterski p. Bandrowski zaangażowany został do teatru La Scala w Medyolanie. — W Neapolu zyskał wielkie powodzenie nowy dramat Bovia p. t. "Sanct Paul". — Występy Mieczysława Frenkla na lwowskiej scenie cieszą się wielkiem powodzeniem. — W Berlinie powstać ma wielkie przedsiębiorstwo teatralne łączące w sobie operę, dramat, farsę i komedyę. Na scenie olbrzymiej znajdą zastosowanie najświeższe wynalazki dekoracyjne, aparaty optyczne i maszynerye. W gmachu projektowanym założone zostaną kawiarnie i składy eleganckie, a oprócz tego zaprowadzą przedsiębiorcy takie urządzenia, że zamknięte audytoryum zamienić można w kilku minutach na otwarty teatr letni. — P. Adam Staszczyk, autor „Nocy Świętojańskiej“, złożył dyrekcyi teatru krakowskiego 4-aktowy obraz sceniczny p. t. „Filareci“, osnuty na tle historycznem z czasów Mickiewiczowskich w Wilnie. — Konkurs na operę. Za przykładem Sonzogna, ogłosiła śpiewaczka angielska, panna Fanny Moody, wespół z p. Manners konkurs na jednoaktową operę angielską, wyznaczając za najlepszą 100 ft. szt. nagrody. Otrzymał ją młody, 23-letni kompozytor szkocki, Mac Lean, za operę „Petruchio“, do której libretto napisała młodsza jego siostra. O utworze tym, wystawionym w teatrze „Covent-Garden“, pisze krytyka, że zarówno pod względem muzyki jak i treści jest niezbyt udolnem naśladownictwem „Rycerskości wieśniaczej“. Panna Moody wykonała główną rolę kobiecą. Najwięcej oklasków zyskała — Patti, która wprowadzona przez sir Augusta Harrisa na scenę, wręczyła osobiście nagrodę rozpromienionemu kompozytorowi.

Garść myśli. Niektórzy zaczynają wtedy dopiero mieć honor, gdy widzą, iż są pod tym względem zakwestyonowani.

Jak bogatymi moglibyśmy być, gdybyśmy we wszystkiem byli tak oszczędni, jak w — dobroczynności.

Zbytkowość ubogich jest często bardziej wzruszającą, aniżeli ich nędza.

Modlitwa ubogich jest prośbą, zaś modlitwa bogatych — pokwitowaniem.

Każda moda jest dwa razy śmieszną: na początku i przy końcu.

Są serca, któremi można krajać dyamenty.

Zmarli:

*** Rudolf Gneist**, jeden z najwybitniejszych prawników niemieckich, zm. 22 lipca w Berlinie.

*** Zbigniewa Zmorska**, utalentowana powieściopisarka, zm. w Warszawie przed kilku dniami.

Odpowiedzi Redakcyi.

Kaprysik. Krążą istotnie wieści po mieście, że panna Zimajer i p. Rapacki oraz p. Sosnowski już do poznańskiego teatru nie powrócą. Ile w tem prawdy, nie wiemy. Nie przypuszczamy jednak, by dyrekcya miała się pozbywać ulubieńców publiczności bez nader ważnych powodów, a takich nie ma dotychczas.

Józefowi. Słowo „okultyzm“ nie oznacza osobnej gałęzi spirytyzmu, lecz obejmuje wszystkie t. zw. nauki tajne lub nieurzędowe, a więc chiromancyę, astrologię, spirytyzm, wróżbiarstwo i t. d.

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.